

I. PRZEGLĄD SYTUACJI STRATEGICZNEJ – ASPEKTY REGIONALNE I GLOBALNE

Sytuacja międzynarodowa w 2004 roku stała w dalszym ciągu pod znakiem wojny w Iraku. Wprawdzie kulminacja kryzysu nastąpiła w 2003 roku, lecz niepomyślny rozwój sytuacji w samym Iraku, ujawniający zarazem w pełni fałszywość przesłanek, na podstawie których podjęto decyzję o wojnie, był powodem przedłużania się atmosfery napięcia i nieufności w stosunkach międzynarodowych oraz powrotu do polityki *business as usual*. Mieliśmy do czynienia z przypadkiem urojonego zagrożenia, które poprzez nieadekwatną do jego charakteru próbę opanowania stało się przyczyną rzeczywistych problemów. Przedłużała się w ten sposób blokada dialogu i współpracy między państwami na rzecz tworzenia stabilnego porządku międzynarodowego i rozwiązywania problemów światowych. Paradoksalnie, wojna z Irakiem spowodowała największy kryzys po stronie interwenta, to znaczy Zachodu, choć to nie cały Zachód uczestniczył w tej wojnie. Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych mogą sygnalizować początek wychodzenia z tej zapaści, choć wiele wskazuje, że to może być płytkie wyjście. Trudno jest też z tej perspektywy ocenić, czy to, co się wcześniej stało, było jedynie gwałtownym incydentem w zainicjowanym na początku lat 90. stosunkowo spokojnym procesie przebudowy porządku międzynarodowego, czy też, jak chcą niektórzy, w świecie „idzie na burzę”.

CZAS PODZIAŁÓW

Być może najbardziej charakterystyczną cechą sytuacji międzynarodowej rozwijającej się pod wpływem dramatycznych wydarzeń począwszy od 11 września 2001 roku były głębokie pęknięcia i podziały, które zauważono przede wszystkim w łonie samego Zachodu oraz w jego stosunkach z resztą świata. Pojawiła się teza o kryzysie Zachodu oraz konieczności jego rekonstrukcji. Te oceny mogą wydać się o tyle dziwne, że w ostatnich latach byliśmy świadkami spektakularnej manifestacji siły militarnej przez Stany Zjednoczone, która pozwoliłaby im na zwycięstwo w ewentualnej wojnie z resztą świata, a i Europa bardzo się w tym czasie wzmocniła, również dzięki rozwojowi swego potencjału wojskowego i polityki obrony, które czyniły ją w łącznym ujęciu drugą, po USA, potęgą militarną świata. A jednak większość analityków i obserwatorów raczej podzielała oceny Timothy’ego Gartona Asha z jego książki *Free World* o kryzysie Zachodu jako

spójnego geopolitycznego komponentu (aktora) w ramach globalnego układu sił i struktury ładu międzynarodowego. Chodzi o ten rodzaj kryzysu, który jeśli nie zostanie przewyciężony, przyniesie nie tylko negatywne skutki dla obu (USA, UE) filarów Zachodu, ale może położyć kres jego historycznej pozycji i wpływowi w świecie.

Najsilniejsze podziały i pęknięcia pojawiły się w stosunkach transatlantyckich. Mają one naturalnie swoje korzenie we wcześniejszym okresie; nawet w latach zimnej wojny mieliśmy do czynienia z napięciami i kłótniami w rodzinie. Jednak to, co obserwujemy obecnie, jest znacznie groźniejsze. Obie strony zaczynają bowiem kwestionować wspólnotę wartości, która jest przecież niezbędna, jeśli ma przetrwać wspólnota interesów. Coraz silnie zarysowują się różnice w percepcji sytuacji i zagrożeń dla bezpieczeństwa i odpowiedzi na nie. Owe różnice mają przede wszystkim związek z unilateralizmem i **renacjonalizacją amerykańskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa** oraz nieskrywanym dążeniem administracji G.W. Busha do przekształcenia globalnej supermocarstwowości USA w trwałą hegemonię, to znaczy pełną i nieograniczoną kontrolę nad politycznymi postawami innych państw w sensie ich zgodności z interesami Stanów Zjednoczonych. Niewidoczny wcześniej proces oddalania się USA od Europy, czy wręcz cywilizacyjnego różnicowania, został nie tylko medialnie ujawniony i nagłośniony, ale i potwierdzony doktrynalnie. Różnic między Ameryką a Europą się już nie ukrywa, tylko podkreśla, co ma służyć wykazaniu „wyższości” własnego wariantu tej samej cywilizacji i modelu dla innych. Chodzi o różnice dotyczące znaczenia i użycia siły zbrojnej, roli prawa międzynarodowego, praw człowieka, modelu życia społecznego i roli państwa w jego ramach, stosunku do środowiska naturalnego człowieka, czy nawet, co dotyka sedna cywilizacji, stosunku do religii (asertywna religijność Ameryki vs. postępujący indyferentyzm światopoglądowy czy wręcz programowy ateizm Europy). Trudno ocenić, której ze stron „historia” przyzna rację.

Nie jest to jedyna linia podziałów w łonie Zachodu. Nie jest od nich wolna sama Europa. Część z nich jest zresztą świadomie wywoływana przez Waszyngton w ramach nieskrywanej taktyki „dziel i rządź”, przez co dąży on do osłabienia Europy postrzeganej coraz bardziej jako konkurent na scenie międzynarodowej. Podziały na tle stosunku do USA są również w niemałym stopniu naturalne, poważna część państw europejskich bowiem pragnie utrzymania ścisłych związków z USA, podczas gdy inne zaczynają je traktować jako ograniczające swobodę Europy, a nawet zagrażające jej interesom. Wiąże się to z wewnątrz europejską debatą wokół międzynarodowej roli („tożsamości”) Europy. Niemałą rolę w tym kontekście odgrywają oczywiście niegasnące spory wokół znaczenia traktatu konstytucyjnego dla integracji europejskiej. Problemem Europy (UE) jest także brak silnego i akceptowanego zarazem przywództwa, którego nie jest już w stanie zapewnić oś Paryż–Berlin. Wewnątrz europejskie podziały zostały przesunięte i wzmocnione przez podwójne rozszerzenie (UE i NATO), które dokonało się wiosną 2004 roku. Z jednej strony nastąpiła ostateczna likwidacja podziału zwanego jałtańskim, lecz z drugiej strony „żelazną kurtynę” zastąpiła „linia Huntingtona”, która dzięki temu rozszerzeniu została niemal zinstytucjonalizowana. Nie

jest to wprawdzie nowa „kurtyna” ani tym bardziej „kordon”, lecz bez wątpienia wzdłuż tej linii będzie następować dyferencjacja standardów życia politycznego, społecznego i ekonomicznego w Europie. Ukraińska „pomarańczowa rewolucja” pozwala zachować nadzieję, że możliwa jest dynamika dalszych zmian, które będą polegać na „europeizacji” wschodniej części kontynentu, ale powodzenie tego procesu, biorąc pod uwagę regres polityczny w Rosji, nie jest przesądzone. Jest pewnym paradoksem, iż widoczna niekiedy rywalizacja między UE a USA o „duszę” (względy geostrategiczne i geoekonomiczne) Rosji może ten biegnący wzdłuż linii Huntingtona podział Europy i Zachodu utrwalać.

Nie słabnie linia podziału oddzielająca Zachód od reszty świata. Nawet jeśli uległa pewnemu wyciszeniu retoryka towarzysząca antagonizmowi między Północą i Południem, postawa krajów afrykańskich, arabskich i azjatyckich wobec Zachodu jest mieszaniną podejrzliwości, lęku, chęci historycznego rewanżu i rosnącej – w przypadku Azji Wschodniej – asertywności. Wojna przeciwko Irakowi była z pewnością dla tych państw bardzo instruktywna, choć zapewne chodzi o inną lekcję, niż było to intencją Waszyngtonu. W państwach tych regionów istnieje świadomość militarnej przewagi Zachodu nad resztą świata, co zmusza je do obierania właściwej dla tej sytuacji strategii. Dla Chin jest to strategia stopniowego i spokojnego, nie demonstracyjnego budowania swej potęgi. Dla wielu innych, przestraszonych perspektywą arbitralnych interwencji Zachodu, zwłaszcza USA, jest to strategia polegająca na wyposażeniu się w broń masowego rażenia; wydaje się, że w przypadku Korei Północnej zdała ona egzamin. Dla aktorów pozapaństwowych będzie to rozwój technik walki asymetrycznej. Wojna przeciwko Irakowi odebrała też Zachodowi, w oczach państw niezachodnich, legitymizację do posługiwania się ideologią praw człowieka i demokracji. Jest ona bardziej niż w przeszłości postrzegana jako instrument, za pomocą którego mocarstwa zachodnie i ich sojusznicy starają się realizować swoje interesy ekonomiczne i strategiczne. Takie postrzeganie tej kwestii trafnie określił Timothy Garton Ash w cytowanej wcześniej pracy: „kiedyś mówili: Chrystus, myśleli: bawelna, teraz mówią: demokracja, myślą: ropa naftowa”. Oparta na mistyfikacji, łamaniu prawa, w tym prawa humanitarnego, oraz powodująca – ze względu na swobodne posługiwanie się ogromną siłą – dużą śmiertelność i zniszczenia wojna w Iraku była mocnym argumentem dla tego rodzaju interpretacji. Należy podkreślić, że to nie tyle usunięcie Saddama Husajna, który niemal nigdzie nie budził sympatii, ile sposób, w jaki się to dokonało, oraz okoliczności i kontekst, uwypukliły strategiczny i cywilizacyjny wymiar podziału czy wręcz „zderzenia” pomiędzy „the West and the Rest”.

IRAK – CO DALEJ?

Bob Herbert, znany komentator „The New York Times”, napisał w końcu 2004 roku, że „Wojna z Irakiem była rezultatem narzucenia przez najbardziej wpływowych członków administracji ich niebezpiecznych fantazji na temat świata (*imposing their dangerous fantasies on the world*). Do tych fantazji należały

w szczególności broń masowego rażenia, związku Saddama z Al-Ka'idą, tłumy Irakijczyków wiwatujących na cześć amerykańskich wojsk inwazyjnych oraz rozszerzanie się amerykańskiego modelu demokracji na Bliskim Wschodzie. Wszystkie głosy wzywające do ostrożności zostały zignorowane, fantazjom pozwolono wziąć górę. Świat nie jest grą wideo, choć tak może się zdawać tym aroganckim i zamkniętym hermetycznie w murach Waszyngtonu włodarzom siły, która ma wpływ na los milionów ludzi żyjących w różnych regionach naszej planety. Ten rodzaj potęgi, którą dysponują, powinien skłaniać do pokory, nie arogancji..."¹. Istotnie, **drugi rok wojny w Iraku potwierdził zarówno fałszywość powodów, dla których została wywołana, jak i trafność obaw, które były wyrażane w związku z planami tej wojny.**

Stosunkowo najłatwiej było stwierdzić fałszywość pretekstów, które wymyślono, aby tę wojnę uzasadnić. Uczyniły to dwie oddzielne amerykańskie komisje (powołane przez Kongres USA), które po przebadaniu gigantycznego materiału doszły do wniosku, iż Irak nie tylko nie posiadał broni masowego rażenia, ale również nie inicjował żadnych programów, które mogłyby prowadzić do jej produkcji. Zdaniem komisji, Bagdad zrezygnował z takich ambicji najprawdopodobniej już po pierwszej wojnie w Zatoce, co by oznaczało, iż Anglosasi mylili się, stosując przez cały ten czas surowe sankcje wobec Iraku oraz prowadząc okresowe bombardowania różnych obiektów na terenie tego kraju („just in case...”)². Druga komisja orzekła natomiast, iż reżim w Bagdadzie nie utrzymywał żadnych związków z Al-Ka'idą ani też z innymi organizacjami terrorystycznymi. **Ustalenia amerykańskich komisji oznaczały, iż Irak nie stanowił przed wojną zagrożenia dla bezpieczeństwa międzynarodowego.** Niezależnie od tego, że przyczyny wojny okazały się nieprawdziwe (dla administracji USA, eksperci bowiem wiedzieli od początku, iż jej argumenty były zmyślane), „inwazja na Irak była bezprawna, gdyż stanowiła pogwałcenie Karty Narodów Zjednoczonych”; takie właśnie stanowisko zajął publicznie Kofi Annan, który jako sekretarz generalny ONZ jest upoważniony bardziej niż poszczególni politycy do orzekania o zgodności poczynań członków organizacji z prawem międzynarodowym. K. Annan wyraził przy tym nadzieję, że „przez długi czas nie zobaczymy podobnej do irackiej operacji...”, co być może będzie jedynym pożytkiem z niej wynikającym³. Znacznie wcześniej takie stanowisko zajęli wybitni eksperci z dziedziny prawa międzynarodowego.

Nieprawdziwość powodów i niezgodność interwencji z prawem międzynarodowym były oczywiste od samego początku. Zaskoczeniem natomiast był rozwój wydarzeń w samym Iraku już „po zwycięstwie”. Chodzi o nasilenie różnego rodzaju aktów oporu wobec amerykańskich wyzwolicieli oraz niemożność przywrócenia w Iraku normalnych warunków życia. Największym problemem były akty określane jako terrorystyczne, choć wiadomo, iż jeśli ich celem są oddziały

¹ B. Herbert, *The latest overreach from the Pentagon*, „International Herald Tribune” („IHT”) z 28 grudnia 2004 r.

² M. Gadziński, *Koniec poszukiwań*, „Gazeta Wyborcza” („GW”) z 13 stycznia 2005 r.; *Intentions vs. reality in Iraq*, „IHT” z 21 września 2004 r.

³ *Kofi Annan: To nielegalna wojna*, „Rzeczpospolita” („Rz”) z 17 września 2004 r.

wojskowe czy policyjne, to nie są to już akcje terrorystyczne, lecz działania o charakterze partyzanckim. W Iraku w 2004 roku zdarzały się jedne i drugie, a ich eskalacja sprawiała wrażenie, iż kraj pogrąża się w chaosie. Według jednego z raportów, **w ciągu jednego tylko miesiąca (sierpnia) 2004 roku zostało przeprowadzonych 2368 ataków na cele cywilne i wojskowe, czyli średnio 80 dziennie**. Usiłując przełamać opór i zaprowadzić spokój, wojska amerykańskie dokonywały krwawych akcji pacyfikacyjnych, które przynosiły liczne straty wśród ludności cywilnej. Rezultaty tych działań były dość przerażające (choć nie dla Waszyngtonu). Specjalny zespół badawczy z Johns Hopkins University (Bloomberg School of Public Health) ogłosił w październiku 2004 roku, iż prawdopodobnie **„więcej niż 100 tysięcy osób cywilnych poniosło śmierć w Iraku w związku z trwającą od marca 2003 roku wojną”** (chodzi o bezpośrednie i pośrednie konsekwencje tej wojny). Toczona na terenie Iraku wojna stworzyła świetne warunki do rozwoju terroryzmu, co oznacza być może największą porażkę interwenta⁴. Symbolem oporu, strat, zniszczeń i bezwzględności, z jaką amerykańskie wojska starały się zmiążyć swego przeciwnika, stała się dwukrotna bitwa o Faludżę. Listopadowa operacja „Upiorna Furia” była dalszym ciągiem zadeklarowanej na początku tej wojny kampanii „Szok i Przerażenie”. W ciągu tygodnia walk znakomicie wyposażone wojska amerykańskie zabiły około 1200 rebeliantów (straty własne – około 30 zabitych), zdewastowały miasto, a wcześniej i w trakcie walk wygnały z miasta około 200 tys. mieszkańców (straty cywilne nie zostały podane). Powracający do miasta uchodźcy zobaczyli, w opisie dziennikarza „IHT”, „pustynny świat szkieletów budynków, zniszczone pociskami czołgów domy, poskręcane druty linii elektrycznych, postrzępione drzewa palm (...), stawali w rozpacz przed tymi scenami zniszczeń, nie wiedząc, czy ich własne domy zostały obrócone w gruzy, czy tylko obrabowane”. W artykule zatytułowanym *Powrót do tego, co pozostało z Faludży* Erik Eckholm pisze: „te pozostałości stanowią świadectwo okrucieństwa XX-wiecznej walki miejskiej o każdy dom”⁵. W oczach światowej opinii publicznej **Faludża stała się drugim Grozным**. Nieproporcjonalne użycie siły, także w sytuacjach, które tego nie wymagały (np. strzelanie do osób wiwatujących na widok amerykańskiego pojazdu wysadzonego w powietrze przez partyzantów), nie mogło budzić niczyjej sympatii, powiększało rozlew krwi i uzasadniało powszechną ocenę o naruszaniu przez wojska USA międzynarodowego prawa humanitarnego. Zdaniem obserwatorów, dławiąc za taką cenę wszelki opór, Amerykanie oddalali widoki na polityczne rozwiązanie w Iraku oraz przegrywali walkę o „serca i umysły” na Bliskim Wschodzie⁶. Postępując w taki sposób, Amerykanie potwierdzali głoszone

⁴ D. Benjamin, G. Weimann, *Terrorist talk shows just how wrong Bush is*, „IHT” z 28 października 2004 r.; J. Glanz, T. Shanker, *Iraqi rebels show wide pattern of resistance*, „IHT” z 30 września 2004 r.; E. Rosenthal, *Iraqi toll is put at 100,000*, „IHT” z 29 października 2004 r.

⁵ „IHT” z 6 stycznia 2005 r.

⁶ B. Dehghanpisheh, *Operacja Upiorna Furia*, „Newsweek” z 21 listopada 2004 r.; *Ogień piekielny w meczecie*, „GW” z 8 kwietnia 2004 r.; D.G. Press, B. Valentino, *A hollow victory*, „IHT” z 18 listopada 2004 r.

nieraz w USA poglądy, iż ta wojna ma charakter cywilizacyjny. Z niepokojem odnotowywał to np. Thomas L. Friedman, który pisał, że wielu Irakijczyków określało amerykańskich żołnierzy mianem „Żydzi”. To określenie upowszechniało się zresztą na całym Bliskim Wschodzie; było to rezultatem nie tylko błędów, ale również nieumiejętności dotarcia do arabskiej opinii publicznej z przesłaniem wyjaśniającym przyczyny amerykańskiej obecności w Iraku i całym regionie. W efekcie nie miała część tej opinii tkwiła w przekonaniu, że „wojna z terroryzmem jest wojną z islamem”, czego przejawem było to, że wielu wyznawców islamu mieszkających w Europie udawało się do Iraku na wojnę przeciwko niewiernym, którzy postawili swoją zbrojną stopę na ziemi proroka⁷.

Niepomyślny przebieg kampanii irackiej rzutował naturalnie negatywnie na możliwość wprowadzenia w życie szerszego planu Stanów Zjednoczonych dla Bliskiego Wschodu, którego początkiem miała być zresztą również wojna w Iraku, to znaczy obalenie Saddama Husajna. Chodzi naturalnie o ambitny projekt modernizacji i demokratyzacji krajów tego regionu, co przedstawiciele administracji Busha i sam prezydent wielokrotnie deklarowali. Amerykanie zdawali się jednak nie rozumieć, że możliwości realizacji tego projektu są mocno ograniczone wcześniejszymi, nieudanym doświadczeniami świata islamsko-arabskiego z obecnością Zachodu. Warto zwrócić uwagę na zbieżność między poglądami prof. Bernarda Lewisa, najwybitniejszego zachodniego znawcy cywilizacji islamu i świata arabskiego, oraz Usamy Ibn Ladina. Lewis twierdzi, że wiele politycznych schorzeń tego regionu, zwłaszcza różnorodne formy autorytaryzmu i oporu przeciwko niemu, jest właśnie pochodną mniej czy bardziej zamierzonych oddziaływań Zachodu, zarówno jego ekspansji polityczno-militarnej, jak i wpływów cywilizacyjnych. Ibn Ladin oskarża natomiast administrację Busha o dawanie złęgo wzoru państwom islamskim, których „reżimy są podobne, w połowie bowiem są rządzone przez armie, a w połowie przez synów królów i prezydentów (...). W obu kategoriach łatwo znaleźć ludzi pełnych pychy, chciwości, arogancji, defraudujących pieniądze”⁸. Francuski analityk François Heisbourg określił, trafnie jak się zdaje, warunki ewentualnego powodzenia takiego projektu: po pierwsze, musi być pomyślany jako długofalowy (20–30 lat) – niecierpliwość i dążenie do szybkiego sukcesu przyniosą skutki odwrotne od zamierzonych; po drugie, inicjatywa musi stracić amerykański koloryt; po trzecie, priorytetem krajów zachodnich udzielających pomocy musi być edukacja i zmiana statusu kobiety w tych krajach; po czwarte, potrzebna jest jakaś instytucjonalna maszyna (jaką miał np. plan Marshalla); po piąte, żadna inicjatywa tego typu się nie powiedzie bez trwałego pokoju między Izraelczykami a Palestyńczykami⁹. Zadanie jest jednak szersze, niż pisze Heisbourg. Przekonuje o tym kompetentny raport pt. *Muslim World*,

⁷ T.L. Friedman, *Jews, Israel and America*, „IHT” z 25 października 2004 r.; *European Muslims joining war against U.S. in Iraq*, „IHT” z 26 października 2004 r.; *The war for Islam’s heart*, „The Economist” z 18 września 2004 r.

⁸ *Dobre chęci to za mało*, wywiad z B. Lewisem, „Forum” z 26 czerwca 2004 r. (przedruk za „Atlantic Monthly”); *Osama grozi USA*, „GW” z 30 października–1 listopada 2004 r.

⁹ F. Heisbourg, *Mideast democracy is a long term, global project*, „IHT” z 24 marca 2004 r.

ogłoszony przez korporację RAND na przełomie 2004/2005 r. Analitycy RAND wskazują na bardzo rozległe źródła islamskiego radykalizmu, których przeciężenie może wydać się wręcz nieprawdopodobne. Dzielią je oni na trzy kategorie: 1) warunki – fiasko politycznych i ekonomicznych modeli rozwojowych, strukturalna postawa antyzachodnia, decentralizacja władzy religijnej w islamie sunnickim; 2) procesy – rewitalizacja islamu, zewnętrzne finansowanie religijnego fundamentalizmu i ekstremizmu, nałożenie się islamizmu i trybalizmu, rozwój powiązań między grupami radykalnego islamu, pojawienie się mass mediów na usługach islamu, długotrwałe konflikty, np. palestyńsko-izraelski; wydarzenia-katalizatory – irańska rewolucja, wojna afgańska, wojna w Zatoce (1991), wydarzenia 11 września i globalna wojna z terroryzmem, wojna z Irakiem.

Jak wynika z powyższych ocen, wojna w Iraku, niezależnie od tempa stabilizacji w tym kraju, może się okazać długofalowo kontrskuteczna w perspektywie bardziej globalnego i strategicznie bardziej doniosłego planu, jakim powinno być z zachodniego punktu widzenia trwałe przeobrażenie sytuacji na Bliskim Wschodzie w taki sposób, aby ten region przestał stwarzać zagrożenia dla Zachodu. Naturalnie, niepomyślne wieści nadchodzące z Iraku skłaniały do analiz na temat przyczyn takiego obrotu sprawy. Źródłami tak zwanego „**katastrofalnego sukcesu**” zajmowali się eksperci z USA i innych państw zachodnich. Efektem tych analiz były wnioski mówiące o nadmiernie optymistycznych założeniach, o niewystarczającej sile wojskowej, o niedostatecznym wsparciu międzynarodowym, o błędach wywiadu i rozpoznania (brak wywiadu osobowego, opieranie się na uchodźcach, którzy okazali się zwykłymi oszustami, *vide* Ahmed Szalabi), rozwiązanie irackiej armii, co otworzyło drogę do rozwoju lokalnej przestępczości oraz dało szansę rozwinięcia się partyzantki (rekrutującej się głównie spośród byłych żołnierzy) i swobodę operowania terrorystom¹⁰. Błąd był naturalnie bardziej podstawowy i leżał gdzie indziej. Błędem była decyzja o tej wojnie, reszta była jej konsekwencją. Niemożącym sobie poradzić z sytuacją w Iraku różni eksperci sugerowali rozmaite warianty dalszego postępowania, łącznie z odzywającą co kilka miesięcy ideą podziału Iraku na kilka państw, co byłoby nie tylko ostatecznym przyznaniem się do porażki, ale także niebezpiecznym precedensem¹¹. Być może najbardziej trafnym wytłumaczeniem zarówno dla samej decyzji o wojnie, jak i rozwoju sytuacji po zakończeniu jej gorącej fazy była, jak pisano po wrześniowym wystąpieniu prezydenta Busha w ONZ (np. „Financial Times”) „**systematyczna odmowa wejrzenia w to, co się naprawdę stało w Iraku**”, „oderwanie się od rzeczywistości Iraku zanurzającego się w chaosie i niestabilności”, „demonstrowanie przez tę administrację autystycznego samozadowolenia”. Sposobem na odparcie wszystkich zarzutów związanych z przebiegiem wojny irackiej była, zdaniem wielu obserwatorów, „redefinicja zwycięstwa”, którą zademonstrował Bush w swej mowie inauguracyjnej nową kadencje. Chodziło

¹⁰ Zob. np. trzyodcinkowy raport nt. „catastrophic success”, ogłoszony w „IHT” z 19–21 października 2004 r.

¹¹ Por. C. Bildt, *The dangerous idea of partitioning Iraq*, „IHT” z 20 maja 2004 r.

mianowicie o uzasadnienie tej wojny (skoro inne powody upadły) w kategoriach zwalczania tyranii i propagowania przez USA wolności i demokracji na całym świecie¹², o czym bliżej w dalszej części tego rozdziału. Stąd też wyjątkowa koncentracja administracji USA i związanych z nią mediów na sprawie wyborów do przejściowego Zgromadzenia Narodowego w Iraku, które odbyły się 30 stycznia 2005 roku. Trudno je wprawdzie nazwać wyborami, ich „demokratyczny i wolny” charakter bowiem najlepiej obrazował przekaz jednej z amerykańskich telewizji na trzy dni przed wyborami, podczas którego można było zobaczyć amerykańskich żołnierzy rozwieszających wyborcze plakaty. Przez Irakijczyków były one z pewnością rozumiane jako krok prowadzący do przejęcia odpowiedzialności za kraj i jego opuszczenia przez wojska amerykańskie (pomijając zrozumiałe skądinąd zainteresowanie przeprowadzeniem tego głosowania wyrażane przez szytów i Kurdów). Wprawdzie trudno o tym wydarzeniu mówić jako o demokratycznych wyborach (przeprowadzonych w obecności ponad 150-tysięcznej armii USA zachowującej *de facto* wszelkie uprawnienia armii okupacyjnej), ale uzasadnione jest oczekiwanie, iż okażą się one krokiem w kierunku stabilizacji w tym umęczonym kolejnymi konfliktami kraju. Odkładając na półkę „bajkę o irackiej demokracji”, można przypuszczać, iż zwiększony udział Irakijczyków w zarządzaniu ich krajem będzie na swój lokalny sposób racjonalizować politykę i zmniejszać udział siły militarnej (w tym ataków ze strony terrorystów i rebeliantów) w życiu tego społeczeństwa. Nie brak jednak głosów mówiących o tym, iż te „demokratyczne” wybory były niestety krokiem w kierunku bałkanizacji Iraku na tle religijno-etniczym, co poprzedzi wycieńczająca wojna domowa¹³.

W WASZYNGTONIE BEZ WIĘKSZYCH ZMIAN

Stan amerykańskiej polityki w roku przedwyborczym oraz w rezultacie wyborów prezydenckich pozwala na stwierdzenie, iż na postawione latem 2002 roku przez Pierra’a Hassnera pytanie: imperium siły czy siła imperium?, zdecydowaną przewagę odpowiedzi zachowali zwolennicy imperium siły¹⁴. Jak podkreślali obserwatorzy amerykańskiej sceny politycznej, w Waszyngtonie nie ma sporów między gołębiami i jastrzębiami, są spory wyłącznie między jastrzębiami. I najczęściej, jak zauważał z zaskoczeniem były *neocon* (neokonserwatysta) Francis Fukuyama, toczono spory o to, jak wielka powinna być siła zbrojna USA dla osiągnięcia pożądanego rezultatu. Dotyczyło to również Iraku. Jeśli już neokonserwatyści zgadzali się, iż sprawy w Iraku nie poszły tak jak powinny, to właśnie ze względu na niedostatek użytej tam siły (zdaniem jednego z nich „błędem było użycie zbyt małej siły”). Liczba ofiar nie miała tam żadnego znaczenia. Jeden

¹² M. Dowd, *In Iraq, Bush struggles to redefine 'victory'*, „IHT” z 10 stycznia 2005 r.

¹³ M. Zawadzki, *Bajka o irackiej demokracji*, „GW” z 20 sierpnia 2004 r.; R. Stefanicki, *Demokracja kanonierek*, „GW” z 4–5 grudnia 2004 r.; M. Zawadzki, *Bagdad – miasto widmo*, „GW” z 27 stycznia 2005 r.; S. Lone, *This election is a sham*, „IHT” z 28 stycznia 2005 r.

¹⁴ P. Hassner, *The United States: the empire of force or the force of empire?*, „Chaillot Papers”, nr 54, wrzesień 2002.

z autorów, parafrazując tytuł głośnego artykułu Paula Kennedy'ego z lutego 2002 (*Orzeł wylądował*), napisał: „wylądowały jastrzębie”. Ostatni głos zdrowego rozsądku, za jaki uważano Colina Powella, zrezygnował niechciany przez prawicowych fundamentalistów, którzy zdominowali tę administrację (Cheney, Rumsfeld, Wolfowitz, Hadley, nie mówiąc o samym prezydencie i jego nowym sekretarzu stanu, C. Rice)¹⁵.

W sumie mamy do czynienia z dość osobliwym przypadkiem. Pierwsza kadencja prezydenta została nadzwyczajnie nisko oceniona przez tych, w których kompetencje mamy prawo wierzyć. W głośnym artykule wstępnym „The New York Times” uznał, że ta konfrontacja wyborcza dotyczy „przede wszystkim katastrofalnej kadencji ustępującego prezydenta”. Wydarzenia z 11 września dały mu zdaniem „NYT” nadzwyczajne możliwości zrealizowania nawet najtrudniejszego programu. **„Jedyną granicą była jego wyobraźnia. Zażądał jedynie kolejnych cięć podatków i wojny z Irakiem.** (...) Międzynarodowy protest wobec tej wojny łączy się teraz z pogardą dla niekompetencji w wykonaniu tej operacji. (...) Przywódcy «państw hultajskich» zostali definitywnie nauczeni, że najlepszą obroną przed uprzedzającym uderzeniem USA jest wyposażenie się w broń nuklearną. (...) Patrzymy wstecz na te cztery lata ze złamanym sercem z powodu niepotrzebnie poniesionych ofiar oraz szans tak beztrudnie zmarnowanych. Historia parokrotnie zapraszała George'a W. Busha do odegrania wielkiej roli, lecz on stale wybierał zły kurs”. To nie jest opinia skrajnej lewicy, pacyfistów lub antyglobalistów; przeciwnie, jest to zdanie najbardziej być może opiniotwórczego dziennika w świecie. „Wierzmy, iż dla Ameryki lepszy będzie wybór Johna Kerry'ego”, kończył dziennik¹⁶. Stało się inaczej. Republikańscy specjaliści od politycznego marketingu potrafili wmówić społeczeństwu, iż Ameryka jest w trakcie wielkiej wojny, nie wolno zatem wymieniać dowódcy, a głównym orężem w konfrontacji ze złym światem jest, obok budżetu militarnego równego wydatkom reszty świata (!), religijny fundamentalizm. Zdaniem wielu Ameryka zdawała się porzucać swe oświeceniowe korzenie. Wyraźne zwycięstwo w listopadowych wyborach (także do Kongresu) dało republikanom i samemu prezydentowi mandat do stanowczej kontynuacji przyjętego kursu. O istotnej jego reformie nie mogło być mowy; ideologie są niereformowalne. Sytuację pogarszała konieczność kontynuowania „złej wojny”. Stany Zjednoczone, zamiast przewodzić wolnemu światu, musiały zbrojnie walczyć o utrzymanie „swego prawa” do kontroli nad najbardziej ropodajnym regionem świata, a jednocześnie zabiegać o międzynarodową pomoc w rozwiązaniu problemu, który same stworzyły swymi błędnymi decyzjami. „Zła wojna” nie tylko usztywnia tego, który ją prowadzi (musi na różne sposoby rozpaczliwie potwierdzać jej „słuszność”), ale jak pisał Paul Kennedy, **taka „wojna degeneruje”**. Kennedy przypominał słowa von Clausewitza, wedle którego bardzo rzadko wojna kończy się tak, jak tego oczekiwano, gdy ją rozpo-

¹⁵ N.D. Kristof, *The hawks have landed*, „IHT” z 18 listopada 2004 r.; G. Wills, *The return of the moral zealots*, „IHT” z 5 listopada 2004 r.; D.D. Kirkpatrick, *The hawks on Iraq turn on one another*, „IHT” z 25 sierpnia 2004 r.

¹⁶ *An alternative and more: John Kerry for president*, „The NYT” z 18 października 2004 r.

czynano. A jak się ją już rozpocznie, trudno zapobiec jej degenerowaniu się oraz nieplanowanym konsekwencjom. Trudno jednak posądzać neokonserwatystów o znajomość Clausewitza. Do przejawów degeneracji wojny należy eskalacja w użyciu siły oraz odwrót od prawa. Dopiero po ujawnieniu masowego naruszania przez wojska amerykańskie prawa humanitarne (tortury i maltretowanie więźniów) Kennedy zrozumiał, dlaczego USA odrzuciły statut Międzynarodowego Trybunału Karnego: „władcy Pentagonu przeczuwali, że mógłby on służyć do karania amerykańskich żołnierzy”¹⁷. Przejawem skrajnej nieodpowiedzialności ze strony tych, którzy byli w pierwszym szeregu podżegaczy do wojny z Irakiem, stały się teraz wezwania do szybkiego wycofania wojsk USA z Iraku. Wybitny przedstawiciel tego nurtu Edward Luttwak pisał, że zamiast walczyć z różnymi frakcjami w Iraku, Amerykanie powinni spowodować, aby one walczyły między sobą. **„Nawet jeśli po wyjściu wojsk USA z Iraku zapanuje tam chaos, to będzie on bardziej groźny dla sąsiadów Iraku niż dla Ameryki (!)**. Zmieni się także ich nastawienie do sytuacji w Iraku, zwłaszcza że powstało powszechne wrażenie, iż weszliśmy do Iraku, aby eksploatować jego zasoby naturalne”¹⁸.

Skrajnym i niepojętym zarazem (chodziło wszakże o Amerykę i ideały, które głosiła, oraz powody, które skłoniły ją rzekomo do wojny przeciwko Irakowi) przejawem odejścia od prawa i moralności były liczne przypadki **tortur i niehumanitarnego** traktowania i karania pojmanych jeńców irackich i innych osób arbitralnie przetrzymywanych w więzieniach. Znane zdjęcia z Abu Ghraib, więzienia, w którym wcześniej przebywały ofiary reżimu Saddama Husajna, wstrząsnęły światem (choć niespecjalnie Ameryką). Abu Ghraib stało się symbolem samowoli i bezkarności mocarstwa, które posługując się wolnościową retoryką, z bezwzględnością i pogardą dla norm prawnych i moralnych realizuje swe ekonomiczne i strategiczne interesy. Jeżeli tak właśnie interpretowano tę sytuację, to dlatego, że stosowanie tortur nie było „wypadkiem przy pracy”, nie było odosobnionym przypadkiem samowoli żołnierzy czy strażników; stosowanie tortur i niehumanitarne lub nieludzkie traktowanie było metodą (*interrogation practice*). Biały Dom, Pentagon i Ministerstwo Sprawiedliwości ściśle współpracowały przy wydawaniu instrukcji, które umożliwiały uciekanie się do tortur i podobnych procedur bez narażenia się – w przekonaniu ich autorów – na zarzut gwałcenia prawa międzynarodowego, a konkretnie Konwencji Genewskich. „Ofiarami brutalnego traktowania byli uwięzieni w amerykańskich aresztach wojskowych jeńcy – mężczyźni, kobiety, dzieci, których upokarzano, dokonywano zamachu na ich integralność cielesną i psychiczną w kontekście płciowym, bito, torturowano, a nawet zabijano. (...) Administracja Busha – pisał Andrew Rosenthal w tekście pod znamiennym tytułem („prawnicy włamywacze od Busha”) – zamieniła swych doradców prawnych w swego rodzaju cynicznych prawników korporacyjnych, którzy wymyślali, w jaki sposób zamienić to, co nielegalne, w coś, co wyglądałoby na koszerne, a przynajmniej minimalizowało niebezpieczeństwo pociągnięcia

¹⁷ P. Kennedy, *Quand la guerre dégénère*, „Le Monde” z 19 maja 2004 r.

¹⁸ E.N. Luttwak, *Iraq: The logic of disengagement*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2005.

do odpowiedzialności”. Tortury i inne brutalne traktowanie nie miały służyć, jak słusznie zauważył William Pfaff, zdobywaniu informacji. „Prawdziwym powodem było tu przekazanie następującego przesłania do wszystkich w Iraku: patrzcie, co mogą zrobić Stany Zjednoczone, jeśli będziecie kontynuować opór; była to swoista kara zbiorowa jako przestroga. To był środek zastraszający (**„zrobimy wszystkie te straszne rzeczy, aby wam zademonstrować, że nic nas nie powstrzyma przed obezwładnieniem naszych przeciwników”**). Tortury i tym podobne zachowania nie pojawiły się znienacka. Wcześniej przygotowywany był grunt „ideowy”. Elementem tego przygotowania było medialne hasło operacji militarnej w Iraku: „szok i przerażenie” (*shock and awe campaign*). Język pogardy (zwłaszcza Rumsfeld), którym posługiwano się wobec wszystkich przeciwników w Iraku poczynawszy od Saddama, widowiskowe zabicie jego synów i 14-letniego wnuka miały „poluzować hamulce” żołnierzy. Dehumanizacja i demonizacja przeciwnika przyniosła nieuchronny efekt. Tym większe zdumienie wywołała decyzja Białego Domu o nominowaniu swego głównego prawnika, powszechnie uważanego za autora tych nieszczęsnych instrukcji i interpretacji, na prokuratora generalnego USA. Uznano to za wyjątkową kombinację siły i arogancji (oraz niekompetencji). Kary za stosowanie tortur ponieśli niektórzy bezpośredni ich sprawcy, nie zaś ci, którzy przygotowali dla nich ideowo-polityczno-prawny grunt. Wybitny prawnik Anne-Marie Slaughter z Princeton University ubolewała, że Ameryka przestała respektować swe własne kodeksy, i choć część amerykańskiej opinii powtarza, że nie należy utożsamiać tortur z USA („to nie jest Ameryka”), to przecież „świat osądza nas według naszych czynów”. Dopiero pod wpływem światowego oburzenia i krytyki części amerykańskich autorytetów Sąd Najwyższy USA zajął w tej sprawie stanowisko, dzięki któremu „ideologicznie uzasadniane bezprawie” zaczęło powoli ustępować. Ten „jeden z największych skandali w amerykańskiej historii” (W. Pfaff) spowodował – jak zauważano – erozję moralnych podstaw przywództwa USA w świecie. Dotyczyć to będzie w szczególności wiarygodności amerykańskich prób szerzenia idei praw człowieka i podstawowych swobód¹⁹.

Niedobre wrażenie, jeśli chodzi o styl amerykańskiej polityki w 2004 roku, niezależnie od ujawnienia skandalu z torturami, pogłębiło wiele innych wydarzeń czy ujawnianie kolejnych błędów i „zabiegów preparacyjnych” poprzedzających wojnę przeciwko Irakowi. Z jednej strony specjalna komisja kierowana przez republikańskiego kongresmana Thomasa Keana doszła do wniosku, że wydarzeń z 11 września można było uniknąć (*9/11 preventable*), gdyby właściwe służby USA działały należycie i podjęły wymagane kroki. Z drugiej strony pokazywano, w jaki sposób Pentagon deformował informacje wywiadu, aby uzyskać potwierdzenie dla swych planów wojennych przeciwko Irakowi, oraz sztuczki, których rezultatem było, jak to eufemistycznie określano „ukierunkowane myślenie gru-

¹⁹ A. Rosenthal, *Bush's housebroken lawyers*, „IHT” z 31 grudnia 2004 r. – 2 stycznia 2005 r.; M. Danner, *Will Americans all become torturers?*, „IHT” z 7 stycznia 2005 r.; A.-M. Slaughter, *America is failing to honor its own codes*, „IHT” z 22–23 maja 2004 r.; W. Pfaff, *Who ordered 'shock and awe'?*; *Shock, awe and the human body*, „IHT” z 12 maja 2004 r. oraz 22 grudnia 2005 r.; D. Warszawski, *Tortury to tortury*, „GW” z 28 lipca 2004 r.

powe” w CIA. Podobnie wiele komentarzy i sporów wywołały „szpiegowskie ambicje” Rumsfelda, czyli dążenie do utworzenia przy Pentagonie specjalnych, podległych ministrowi służb wywiadowczych, które mogłyby się posługiwać aktywnymi formami zdobywania informacji (np. porywaniem w innych krajach osób podejrzewanych o posiadanie informacji „ważnych dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych”). Samą retorykę Rumsfelda i jego sposób myślenia coraz częściej porównywano do filmowego Dr. Strangelove (*Strangelovian statements*), Paul Wolfowitz zyskał przydomek *walking mistake*, zaś atmosferę panującą w Białym Domu określano jako *fantasyland*, a nową doktrynę Busha (zawartą w przemówieniu inauguracyjnym drugą kadencję) George Soros krótko określił jako „rodzaj orwellowskiej nowomowy” (ze względu na rozbieżność między słowami a czynami tej administracji)²⁰. Nasycenie tej doktryny językiem wolności miało z jednej strony przesłonić brak konkretnego programu, a z drugiej wytłumaczyć Amerykę z błędów oceny rzekomego irackiego zagrożenia („wprawdzie nie było tam broni ani związków z terroryzmem, lecz przynajmniej obaliliśmy tyrańca”). Pojawiły się także w USA pierwsze samokrytyczne oceny mediów, które nadto pobłażliwie i niewystarczająco krytycznie przyjmowały poczynania tej administracji, zanim jej jawne intencje zostały wprowadzone w życie²¹.

John Lewis Gaddis w swym ważnym tekście otwierającym styczniowo-lutowy numer „Foreign Affairs” z 2005 r. stwierdził, że w czasie pierwszej kadencji G.W. Busha doszło do idącego najdalej przeformułowania (*the most sweeping redesign*) wielkiej strategii USA od czasów Franklina D. Roosevelta. Uzasadnionym powodem do takiej redefinicji były wydarzenia z 11 września porównywalne do Pearl Harbor. W tym procesie popełniono jednak liczne błędy, uważa prof. Gaddis. „Jest zawsze złym pomysłem mylenie potęgi z mądrością: muskuły nie są mózgiem. Jest też zawsze niedobłą rzeczą obrażać potencjalnych sojuszników (...)”. Inni również sądzili, iż styl tej administracji doprowadził do katastrofalnego spadku międzynarodowego poparcia dla USA oraz utraty ich międzynarodowej wiarygodności. Gaddis pyta, czy Bush drugiej kadencji zdobędzie się na mądrość Bismarcka i zbuduje taki system międzynarodowy, w którym reszta świata uzna, że lepiej, aby to Stany Zjednoczone były potęgą dominującą niż ktokolwiek inny²². Istotnie, ten aspekt polityki administracji G.W. Busha był oczywiście najbardziej interesujący dla świata ze względu na wpływ, jaki potęga Ameryki wywierała na sytuację międzynarodową, możliwość rozwiązywania (lub blokowania) problemów globalnych i regionalnych oraz

²⁰ G. Soros, *Nowa doktryna Busha*, „Rz” z 28 stycznia 2005 r.; *The cynical evasions of Bush and Rumsfeld*, oraz *Rumsfeld spying ambitions*, „The NYT” z 13 maja i 22 grudnia 2004 r.; D. Jehl, *Pentagon official distorted intelligence, report says*, „IHT” z 22 października 2004 r.; M. Dowd, *Eve of destruction*, „IHT” z 24–25 grudnia 2004 r.; D. Johnston, *Senate report details flawed CIA approach*, „IHT” z 12 lipca 2004 r.; K. Simple, *9/11 preventable, panel's chief still says*, „IHT” z 5 kwietnia 2004 r.

²¹ P. Krugman, *America's press has been too soft on Bush*, „IHT” z 29–30 maja 2004 r.; J. Carroll, *Open your eyes, America*, „IHT” z 11–12 grudnia 2004 r.

²² J.L. Gaddis, *Grand Strategy in the Second Term*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2005.

losy wielu państw. To dlatego z takim zainteresowaniem i nadziejami czekano na wynik amerykańskich wyborów prezydenckich. Notabene, niektórzy komentatorzy pisali półżartem, iż reszta świata powinna mieć wpływ na te wybory, jakoś w nich uczestniczyć, skoro ich wynik tak bardzo wielu na świecie wprost dotyczy. O międzynarodowej reakcji na ich wynik najlepiej mówi tytuł artykułu „IHT” z 4 listopada 2004 r.: *The global reaction: praise, resignation and disappointment*. Oczekiwania z różnych stron świata szły jak wiadomo dalej niż przymuszanie do udziału w dowodzonych przez USA *coalitions of the willing*. Pierwsze wypowiedzi (i nominacje) prezydenta oraz jego najbliższych współpracowników po inauguracji drugiej kadencji skłaniały do ostrożności w ocenie tego, w jakiej mierze polityka USA będzie uwzględniać także oczekiwania społeczności międzynarodowej lub będzie skierowana na budowę lepszego porządku międzynarodowego²³. Zdaniem Zbigniewa Brzezińskiego „Wypowiedzi Busha na temat wojny z terroryzmem uważam za szkodliwe slogany, które mogą się stać samospełniającym proroctwem. Mamy oczywiście do czynienia z aktami terrorystycznymi, ale w historii były już okresy nasilenia terroryzmu. Interpretowanie obecnych zmaganiań w kategoriach jakiejś wielkiej światowej wojny z terroryzmem to zaćmienie znacznie bardziej skomplikowanych problemów. Sprowadzają się one do tego, że na znacznym obszarze świata panuje ogromny zamęt społeczno-polityczny oraz pobudzenie różnego rodzaju politycznych, religijnych i etnicznych aspiracji. Ujmowanie tego wszystkiego w jedno słowo – terroryzm – moim zdaniem zniekształca znacznie bardziej skomplikowaną rzeczywistość. Świat musi się zmierzyć w sposób odpowiedzialny, a nie za pomocą sloganów, które prowadzą do biało-czarnych rozwiązań”²⁴. W podobnym tonie pisał cytowany wcześniej G. Soros: „Gdy więc Bush mówi «wolność zwycięży», wiele osób w Iraku i gdzie indziej uważa, iż ma on na myśli, że to Ameryka zwycięży. (...) To paradoksalne, ale Stany Zjednoczone – które są najlepszym przykładem społeczeństwa otwartego – nie pojmują we właściwy sposób jego najważniejszych zadań; obecni przywódcy tego kraju wręcz je odrzucają. Koncepcja społeczeństwa otwartego zasada się bowiem na przekonaniu, że nikt nie jest w posiadaniu prawdy ostatecznej. Jeśli uważa się inaczej, może to prowadzić do represji. (...) **Bush uważa swój ponowny wybór za wyraz uznania dla jego polityki i czuje się umocniony w swojej wypaczonej wizji świata.** (podkr. red.) (...) Na Ameryce, dominującym mocarstwie światowym, spoczywa odpowiedzialność za zapewnienie przywództwa we współ-

²³ R. Cohen et al., *Bush's record: pushing a new order for world*, „IHT” z 13 października 2004 r. Autorzy piszą, iż w odbiorze świata Ameryka Busha stała się „bullying, unresponsive, brazen”. *What the world wants from the U.S.*, „IHT” z 17 stycznia 2005 r.; N.D. Kristof, *I want YOU in the coalition of the willing*, „IHT” z 11–12 grudnia 2004 r.; W. Safire, *Bush is better for the Jews*, „IHT” z 26 października 2004 r.

²⁴ *Wojna z terrorem to slogan, wywiad ze Z. Brzezińskim* (przeprowadził W. Smoczyński), „Przekrój” z 10 października 2004 r. Charakterystyczna była w tym kontekście ilustracja na okładce „The Economist” (3 lipca 2004 r.) do artykułu analizującego podejście USA Busha do świata i zatytułowanego *Still taking on the world?*. Ilustracja przedstawiała dwie rękawice bokserskie w kolorze amerykańskiej flagi.

pracy międzynarodowej, Ameryka nie może już robić, co zechce. Dowiodła tego porażka w Iraku”²⁵.

EUROPEJSKIE WYZWANIA

Wprawdzie rok 2004 stał w Europie pod znakiem rozszerzenia, lecz różne wydarzenia i zjawiska, których byliśmy świadkami w ostatnich miesiącach, pokazały, iż to bynajmniej nie skuteczne rozszerzenie UE o dziesięciu nowych członków jest głównym wyzwaniem stojącym przed Unią w nadchodzących latach. Jeśli tak właśnie można powiedzieć, to w dużym stopniu dlatego, że samo rozszerzenie dokonało się sprawnie i niemal bezszelestnie, jeśli nie liczyć salw na wiwat i wystrzeliwanych powszechnie... korków od szampana. Powód do radości był jak rzadko kiedy najgłębiej uzasadniony. Wbrew lękom rozsiewanym przez przeciwników Europy w krajach przystępujących oraz obawom w krajach „starej Unii” operacja „rozszerzenie” okazała się bardzo szybko sukcesem. Narody Europy Środkowej były zbyt głodne „Europy”, by swoim wejściem do Unii cokolwiek psuć. Jedyną egzotyką wniesioną do pracy Unii w wyniku rozszerzenia był specyficzny koloryt zachowań i wystąpień niektórych europarlamentarzystów pochodzących z naszej części Europy, w tym zwłaszcza z Polski, ale taka to już uroda parlamentów, o czym w naszym kraju wiadomo aż nadto. Miał rację czeski dziennikarz Lubosz Palata, gdy nazwał całą tę sytuację „**cudem roku pierwszego**”. Spoglądając na historię naszego regionu, pisał, że jest to „Cud, o który należy ciągle dbać i o nim pamiętać, ponieważ Bóg, choć modli się do niego taki Środkowoeuropejczyk jak Karol Wojtyła, nie sprawia zbyt często cudów w tym kawałku świata. Raz na jedno ludzkie życie to aż nadto”²⁶.

Trafna i zgodna była też interpretacja znaczenia tego wydarzenia. Ralf Dahrendorf i wielu innych uważali, że dzięki temu rozszerzeniu „Po raz pierwszy w historii kontynent jest w całości zjednoczony”. Nie oznaczało to, że wszyscy, którzy powinni być w Unii Europejskiej, już tam są, lecz że po tym rozszerzeniu kontur Unii odpowiada mniej więcej granicom tego, co w kategoriach historyczno-cywilizacyjnych było uważane za Europę. Naturalnie, w ramach tej zjednoczonej w końcu Europy przetrwają różne mniejsze Europy: śródziemnomorska, bałtycka, północna, romańska, środkowa itp.²⁷

Sukces tego bezgłośnego rozszerzenia zwanego przecież w swym zamyśle jeszcze przed paru laty „big-bangiem” pozwolił lepiej dojrzeć inne, poważniejsze wyzwania stojące przed Europą. Należą do nich budowa jej jedności politycznej, doprowadzenie do zamierzonego rezultatu będącej w toku reformy instytucjonalnej, przywrócenie Europie witalności ekonomicznej i technologicznej nowoczesności, obrona jej tożsamości kulturowej w taki sposób, który będzie jej zapewniać witalność ogólnocywilizacyjną i perspektywę przetrwania,

²⁵ G. Soros, op. cit.

²⁶ L. Palata, *Cuda roku pierwszego*, „GW” z 30 grudnia 2004 r.

²⁷ Wywiad z R. Dahrendorfem w „Le Monde” z 2–3 maja 2004 r.

zapewnienie jej odpowiedniej pozycji międzynarodowej, w tym przez wyposażenie jej w adekwatne do potrzeb zdolności wojskowe. Sukces żadnego z tych zadań nie jest przesądzony; co więcej, istnieją powody, aby sądzić, że w odniesieniu do niektórych z wymienionych wyzwań stoimy w obliczu realnej porażki, która długofalowo może zaważyć na losach Europy.

Giles Merritt, sekretarz generalny stowarzyszenia *Friends of Europe*, wskazał na pięć głównych zadań, które stoją przed nową Komisją kierowaną przez Manuela Barroso, a których pomyślna realizacja w czasie jej pięcioletniej kadencji powinna sprzyjać rewitalizacji UE. Należą do nich: 1) uczynienie z Europy bezpieczniejszego miejsca do życia, 2) reformowanie europejskiej gospodarki w kierunku zwiększenia jej konkurencyjności, 3) większy wpływ obywateli na władzę, zarówno w państwach członkowskich, jak i na organy Unii, 4) uczynienie z Europy globalnej siły na rzecz dobra (w życiu międzynarodowym), 5) zwiększenie budżetu Unii po to, aby skuteczniej wypełnić jej obowiązki związane z rozszerzeniem czy też aby móc więcej przeznaczyć na badania i rozwój (R&D)²⁸. To są niewątpliwie ważne zadania. Jednak nie wszystkie z nich można zaliczyć do wyzwań, które stoją przed jednoczącą się Europą. W odniesieniu do niektórych z nich UE osiągnęła najwyższy światowy standard i nie powinny one zatem spędzać snu z oczu europejskim politykom czy ekspertom. Dotyczy to na przykład bezpieczeństwa wewnętrznego czy poziomu demokracji, co oczywiście nie oznacza, iż można te sprawy spuścić z oka, bo jeśli nie będą pilnowane należycie, mogą być zagrożone regresem. Koncentracja uwagi i energii powinna być jednak skierowana na to, co w danym okresie stanowi realne wyzwanie i czemu powinien być przyznany priorytet.

W nadchodzących miesiącach i latach należy do takich zadań zbudowanie politycznej i instytucjonalnej jedności związku państw występującego pod szyldem UE. Chodzi tutaj nie tylko o sprawną obsługę przyjętego modelu integracji, który jest spełnieniem „europejskiego snu o jedności”. Jak napisano w ogłoszonym w styczniu br. raporcie amerykańskiej National Intelligence Council zatytułowanym *Mapping the Global Future*: „Stopień, w jakim Europa zwiększy swą rolę na scenie międzynarodowej, zależy od jej zdolności do osiągnięcia większej politycznej spójności”. Tymczasem, zdaniem autorów raportu, w nadchodzącym okresie UE będzie musiała się skoncentrować na pogłębieniu integracji i pełnym wciągnięciu w jej procedury i treść dziesięciu nowych członków oraz na doprowadzeniu do przyjęcia nowych rozwiązań instytucjonalnych, czyli traktatu konstytucyjnego. Dopiero na tej podstawie będzie możliwe rozwinięcie spójnej, podzielanej przez wszystkich „wizji strategicznej” w ramach unijnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. To jest niewątpliwie prawdziwa ocena. Czy Europa sprosta wyzwaniu, które jest w niej zawarte? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Nie gwarantuje tego nawet ewentualne przyjęcie traktatu, który – przy wszystkich znanych słabościach – byłby ogromnym krokiem do przodu. Cała Unia musi zatem najpierw „wywalczyć traktat”. Dobrze się stało, że jest już grupa krajów,

²⁸ G. Merritt, *An agenda to revitalize the EU*, „IHT” z 27 października 2004 r.

które mają za sobą ratyfikację, do końca procesu jest jednak daleko; główne trudności przed nami. Problem w tym, że przyjęcie traktatu bynajmniej nie gwarantuje, iż w tak zespolonej Unii nie będzie państw, które nad solidarność ze swoją europejską ojczyzną będą przedkładać „specjalne związki” z USA lub w których specyficzne definiowanie interesów politycznych związane z dojrzałością ich kultury politycznej będzie je ustawiać w opozycji do dobra wspólnego, jakim jest zjednoczona w Unii Europa. Było tak w przeszłości i jest to prawdopodobne w przyszłości.

Bez politycznej jedności nie będzie Europy-mocarstwa; rację mają wszyscy ci, którzy uważają, iż w dzisiejszym i przyszłym świecie europejska mocarstwowość jest warunkiem jej przetrwania jako podmiotu geopolitycznego i cywilizacyjnego. Rację ma także były francuski minister spraw zagranicznych Hubert Védrine, gdy mówi, że „jeśli Europa nie stanie się mocarstwem, będzie bezsilna i zależna”²⁹. Europa-mocarstwo byłaby pożyteczna dla jej narodów i dla równowagi światowej, a także dla interesów całego Zachodu. Naturalnie, stając się mocarstwem, Europa nie naśladowałaby Stanów Zjednoczonych ani znanych mocarstw z przeszłości, inne są bowiem podstawy tożsamości międzynarodowej Europy. Pisał o tym niedawno holenderski minister spraw zagranicznych Bernard Bot na łamach „Rzeczpospolitej”. Zdaniem holenderskiego ministra „W pewnym sensie krytycy Unii mają rację. Być może Unia istotnie dąży do przekształcenia świata na swój obraz i podobieństwo. Zawierając umowy z państwami nieczłonkowskimi, zastrzega sobie szereg sztywnych warunków dotyczących praw człowieka, nierozprzestrzeniania broni masowej zagłady, readmisji emigrantów i terroryzmu. Kraje adresaci tych wymagań mogą uważać je za subtelny formę polityki siły, w ramach której Europa próbuje narzucić światu wyznawane przez siebie wartości. Istotnie, z punktu widzenia UE pewne kwestie nie mogą być przedmiotem przetargów, ponieważ są filarem europejskiego modelu, którym pragniemy dzielić się ze światem. Do nich należą demokracja i praworządność, poszanowanie praw człowieka i naturalnego środowiska (...)”³⁰. Treść tej mocarstwowości byłaby zatem inna niż ta, którą znamy w przypadku USA. Jednak o roli międzynarodowej nie decyduje wyłącznie *soft power*, której atrakcyjność w przypadku Europy doceniają także amerykańscy obserwatorzy³¹. Aby przetrwać w warunkach *Realpolitik*, nie wystarczy być atrakcyjnym kulturowo i społecznie oraz szczerze udzielać pomocy krajom tego potrzebującym. Wskazuje na to trafnie cytowany wyżej Védrine: „Europa wykazuje sprzeczne odruchy: chęć szerzenia swego modelu oraz chorobliwy lęk przed siłą”. Aby mogła stać się mocarstwem i szerzyć swój model życia społecznego i międzynarodowego, Europie potrzebne są również zdolności w sferze bezpieczeństwa i obrony. Piszą o tym jednoznacznie autorzy przywoływanego wcześniej raportu i wyrażają jednocześnie wątpliwości, czy tak się kiedykolwiek stanie. Bez wątplenia sukcesami

²⁹ Wywiad dla „Le Figaro” z 6 czerwca 2004 r. (przedruk w „Forum” z 28 czerwca 2004 r.).

³⁰ B. Bot, *Europa, znaczący uczeni gra*, „Rz” z 17 grudnia 2004 r.

³¹ W. Pfaff, *Soft-power victories*, „IHT” z 5 stycznia 2005 r.; J. Vinocur, *Bush might give a nod to a soft-power Europe*, „IHT” z 18 stycznia 2005 r.

ESDP w ostatnich miesiącach są operacje „Proxima” (w Macedonii) i przejęcie od NATO operacji stabilizacyjnej w Bośni i Hercegowinie, a także przejęcie przez Eurokorpus dowodzenia nad międzynarodową operacją ISAF w Afganistanie. Notabene, w drugim i trzecim przypadku chodziło o złuzowanie Amerykanów mających „pełne ręce roboty” w Iraku. Należy się także zgodzić z Javierem Solaną, iż Unii Europejskiej nie brakuje inteligencji i sukcesów w zwalczaniu terroryzmu. Dzieje się to w ramach ESDP i poza nią. Charakteryzując unijną strategię wobec tego zagrożenia, Solana pisze: „Niezależnie od służb bezpieczeństwa i wywiadu musimy dążyć do tego, by pozbawić terrorystów «tłenu». Chodzi o czynniki, które przyczyniają się do wzrostu poparcia dla ruchów terrorystycznych i dostarczają im ochotników. Źródłem gniewu i rozgoryczenia są konflikty regionalne. nierozwiązany wciąż problem arabsko-izraelski powoduje nasilanie się radykalizmu i ekstremizmu. Wszystko to napędza maszynę terrorystycznej propagandy. Unia Europejska będzie zwalczać terroryzm z całą determinacją. Ale musi też zwalczać jego przyczyny. To nie dwie batalie, ale jedna i ta sama”³². Za wstępny sukces Unii w sferze ESDP można także uznać powołanie Europejskiej Agencji Obrony, która ma również pełnić funkcje ośrodka analitycznego i planistycznego wywierającego wpływ na strategię oraz politykę obronną i zbrojeniową Unii. Jednak pod znakiem zapytania pozostaje, według raportu związanej z CIA rady, zdolność państw Unii do zwiększenia wydatków na obronę oraz, co wynika z racji historycznych, ich zdolność do koordynacji i racjonalizacji tych wydatków dla uzyskania lepszego efektu wspólnego. Bez tego UE nie osiągnie pożądanej zdolności do tzw. *power projection*. Bez rzeczywistego postępu w tej dziedzinie zawarty w Europejskiej Strategii Bezpieczeństwa postulat „efektywnego multilateralizmu” pozostanie pobożnym życzeniem.

Polityczno-institutionalna jedność oraz jej przejawy, w tym instrumenty w sferze bezpieczeństwa i obrony, to jedynie powierzchnia kompleksu wyzwań stojących przed Europą. **Prawdziwe problemy tkwią w warstwie ogólnocywilizacyjnej.** Tutaj jest najwięcej powodów do niepokoju, a w długofalowej perspektywie może nawet trwogi. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy ujawniły się przynajmniej trzy duże, wzajemnie powiązane problemy z tej sfery: witalność gospodarcza obszaru UE, jej kulturowe oblicze, regres demograficzny.

To, że realizacja Strategii Lizbońskiej napotyka kłopoty i osiągnięcie jej ambitnych celów jest niemal niemożliwe, wiadomo było już od pierwszego roku jej wdrażania. Jej duch przypominał zanadto „dogonimy i przegonimy” Nikity Chruszczowa. Jednak jej otwarte porzucenie, co nastąpiło na początku lutego br., jest bardzo złym sygnałem, jaki UE wysłała nie tylko na zewnątrz, ale do wewnątrz. Można go zinterpretować w jedyny sposób: „już nam się nie chce więcej chcieć”. Przyczyną porażki (ale przecież także jej skutkiem) jest trwające od dłuższego czasu załamanie wzrostu gospodarczego w głównych krajach Unii (Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania) i ich niechęć do podjęcia niezbędnych reform, które

³² J. Solana, *Jak inteligentnie zwalczać terroryzm*, „GW” z 11 stycznia 2005 r.; zob. także Ch. Sennot, *Europe’s quieter fight against terror*, „IHT” z 27 listopada 2004 r.

przełamia ten trend. Wiadomo, iż nie będzie modernizacji europejskiej gospodarki bez deregulacji unijnego rynku, zwłaszcza w sektorze usług, bez zmiany regul pomocy publicznej dla przedsiębiorstw (na rzecz tych, które preferują nowoczesne technologie), bez inwestycji w badania i rozwój. Przedstawiona przez szefa Komisji Barroso nowa wersja Strategii Lizbońskiej oznacza zwyczajnie stagnację³³.

W ostatnim roku wiele mówiono o tożsamości kulturowej Europy, co miało także związek z przygotowaniem do podjęcia decyzji o rozpoczęciu negocjacji akcesyjnych z Turcją. William Pfaff napisał niedawno, iż rok 2004 był rokiem fanatyzmu, świeckiego i religijnego. Wskazał tutaj nie tylko na Bliski Wschód i Stany Zjednoczone, ale również na Europę. Przejawem świeckiego sekciarstwa była dla niego decyzja Parlamentu Europejskiego o niezaakceptowaniu włoskiego kandydata Rocco Buttiglione na jednego z komisarzy za to, iż ten wyraził „zwykłe konserwatywne katolickie stanowisko w sprawie małżeństwa i homoseksualności”. Pfaff uznał wprawdzie, iż reakcja Watykanu na ten incydent („nowa, antychrześcijańska święta inkwizycja pełna pieniędzy i arogancji”) mogłaby być bardziej staranna w słowach, lecz przyznał zarazem, że „wulgarny antychrześcijaizm jest ostatnią dopuszczalną formą nietolerancji we współczesnym społeczeństwie zachodnioeuropejskim”. Dzieje się to w czasie, gdy w tej samej Europie Zachodniej zgodnie z powszechną obserwacją pustoszeją kościoły, a napęlniają się meczety; w czasie gdy społeczność muzułmańska odrzuca podejmowane pod jej adresem kosztowne zabiegi integracyjne (system edukacyjny) i kiedy jej fanatyczni przedstawiciele bez skrupułów uciekają się do zabójstw w odpowiedzi na zewnętrzną krytykę wewnętrznych praw, które w niej rządzą, a które są niezgodne z prawem europejskim (*vide* zabójstwo holenderskiego reżysera Theo van Gogha). W ten sposób krytyka islamu w Europie staje się nie tylko niepoprawna politycznie, ale wręcz niebezpieczna, grozi utratą życia. Ten sam komentator napisał, że Europa płaci cenę za swoją kulturową naiwność, za wywodzące się z dobrych intencji, lecz fałszywe założenia dotyczące ludzkich, społecznych i politycznych aspektów różnic kulturowych³⁴. Znany brytyjski historyk Niall Ferguson pisze wręcz o narastającej dechrystianizacji, a zarazem islamizacji Europy³⁵. W ten nurt kulturowo-aksjologicznej debusolizacji wpisuje się kwestia prawnej akceptacji związków homoseksualnych i ich zrównania z małżeństwami, o których mówi prawo naturalne, a którego wyrazem jest Powszechna Deklaracja Praw Człowieka. Przejawów duchowego indyferentyzmu, kwestionującego podstawy europejskiego dziedzictwa, stale przybywa. Europa przestaje bronić swej cywilizacyjnej i duchowej tożsamości, przestaje być z niej dumna, w czasie gdy świat zewnętrzny z Ameryką na czele postępuje dokładnie odwrotnie.

Z przejawami ekonomicznej stagnacji i duchowego zamętu wiąże się w Europie demograficzny regres. Wszelkie porównania trendów w tej dziedzinie wypadają zdecydowanie najgorzej dla Europy. Jak pokazał to wspólny raport

³³ A. Słojewska, J. Bielecki, *Europa nie chce już gonić Ameryki*, „Rz” z 3 lutego 2005 r.

³⁴ W. Pfaff, *An era of extremism. On all sides, the fanatics had a good year*, „IHT” z 3 stycznia 2005 r.; idem, *Europe pays the price for cultural naïveté*, „IHT” z 25 listopada 2004 r.

³⁵ N. Ferguson, *The widening Atlantic*, „The Atlantic Monthly”, styczeń–luty 2005.

New Atlantic Initiative oraz American Enterprise Institute for Public Policy Research z jesieni 2004 roku, czynnik demograficzny działa na niekorzyść Europy nie tylko w kontekście globalnym, ale nawet w stosunkach transatlantyckich. Z raportu wynika, iż wskaźnik urodzeń w Europie jest najniższy w historii (stanowi zaledwie 2/3 poziomu zapewniającego przetrwanie), ludność Europy jest najstarsza na świecie (najwyższa średnia wieku całej populacji Europy), a bez masowego napływu imigrantów procesy starzenia się będą postępować i ludność Europy będzie się nieodwracalnie kurczyć. We wspomnianym raporcie NIC również pisano o dwóch głębszych barierach na drodze do europejskiej mocarstwowości: gospodarczej i demograficznej. O związkach witalności cywilizacyjnej z trendami demograficznymi na przestrzeni dziejów pisał już Arnold Toynbee. Europa może być dumna z tego, czego dokonała w ciągu ostatnich lat: przejścia od zimnowojennego podziału kontynentu do wielkiego rozszerzenia UE. Tak wielkie rzeczy nie dokonały się w żadnym innym regionie świata. I o tym zwłaszcza należy pamiętać w obliczu różnych defetystycznych sloganów w rodzaju: „Europejczycy gadają, Amerykanie działają”. Jednak uprawniony wielkością jej cywilizacji „sen o potęgę” spełźnie na niczym, jeśli Europa nie zechce przetrwać właśnie jako cywilizacja³⁶.

Rok 2004 postawił przed Europą dwa nowe wyzwania: pierwsze znane, to sprawa przyjęcia Turcji do UE, drugie pojawiło się z zaskoczenia w samym końcu roku – jest nim europejska przyszłość Ukrainy. Ewentualne członkostwo Turcji w UE jest przedmiotem ożywionej debaty od dłuższego czasu. Argumenty na jego rzecz mają raczej naturę *wishful thinking*, choć zapewne z chwilą podjęcia decyzji, co stało się w grudniu 2004 roku, już nie ma odwrotu – Turcja stanie się członkiem Unii, bo tak chcą nie tylko Turcy, ale przede wszystkim ci, którzy posługują się bądź szantażem intelektualnym (przecież UE to nie jest klub państw chrześcijańskich), bądź politycznym (jeśli jej nie przyjmujemy, to pograży się w odmętach islamskiego fundamentalizmu – jakoś do tej pory się nie pograżyła, bo to nie leży w jej interesie, a Turcy o tym wiedzą i bez Unii). Istnieją poważniejsze powody do sceptycyzmu wobec tego projektu niż nierozumny argument laickich dogmatyków o tym, że UE to nie chrześcijański klub. Unia jest wytworem państw określonego kręgu kulturowego, którego specyfika wbrew nieukom nie ogranicza się do praw człowieka, demokracji i wolnego rynku. Dlatego jej rozszerzanie musi mieć pewne granice, w przeciwnym wypadku dojdzie do erozji jej cywilizacyjnego fundamentu. Projekt UE to nie regionalna wersja ONZ czy OBWE, to coś znacznie więcej. Szanując niektóre argumenty przemawiające za przyjęciem Turcji (choć nie ten, że „musimy ją przyjąć właśnie dlatego, że jest ona islamska”), trzeba zgodzić się z tym, że nadchodzące dekady pokażą, kto w tym sporze miał rację. Stawką jest nie tyle przetrwanie Unii (instytucje można rozwiązać i utworzyć na nowo w innym kształcie i zasięgu), lecz oblicze Europy.

³⁶ Zob. dyskusję na łamach „IHT”: R. Cohen, *Is EU ready for Turkey? Muslim world is waiting* (12 maja); Th. De Montbrial, *Debating the borders of Europe* (21 maja); I. Bremmer, *Would Turkey split the EU and the U.S.?* (22 października); K.-T. zu Guttenberg, *Offer Turkey a 'privileged partnership' instead* (15 grudnia).

Przypadek Ukrainy jest zupełnie odmienny. Ukraina jest państwem *par excellence* europejskim, co wcale nie znaczy, że Lwów znajdzie się w Unii Europejskiej przed Stambułem. Wobec wydarzeń na kijowskim placu Niepodległości nie wszyscy w Europie wykazali się podobnym do Polaków instynktem geopolitycznym. Polska i Europa mogą wiele zrobić, aby wyjść naprzeciw europejskiemu powołaniu Ukrainy, lecz to, czy znajdzie się ona w UE, zależy przede wszystkim od tego, czy „pomarańczowa rewolucja” była rewolucją, czy jedynie rewoltą, która pozwoliła tylko na dotrzymanie demokratycznych reguł gry przy zmianie władzy. Okaże się rewolucją, jeśli będzie początkiem zarówno głębokich oraz kosztownych społecznie i politycznie reform wewnętrznych (które mogą zmieść liderów „pomarańczowej zmiany”), jak i bardzo trudnego z oczywistych względów zrównoważenia stosunków z Rosją, która łatwo nie odda perły w koronie swego nie do końca byłego imperium. Geopolityczna mądrość Polski i Europy musi polegać jednocześnie na trwałym i treściwym zaangażowaniu w pomoc Ukrainie na obu tych „frontach” (wewnętrznym i zewnętrznym) oraz na unikaniu łatwych obietnic, których niespełnienie może być przyczyną regresu, to znaczy argumentem dla tych, którzy nie chcą Ukrainy w Europie. Ukraina nie znajdzie się w Unii za 10–15 lat, raczej za 20–25 (przypomnijmy: Polska pracowała na to 14 lat), i sukces tego przedsięwzięcia jest prawdziwie europejskim wyzwaniem. Z Rosją UE może mieć korzystne stosunki dwustronne i działać wspólnie z USA na rzecz jej trwałego zespolenia z Zachodem. Jeszcze latem 2004 roku strategiczne decyzje prezydenta Kuczmy zdawały się nieodwracalnie wpychać naszych sąsiadów w ręce Rosji. Dzisiaj wiemy, że Ukraina może stać się integralną częścią unijnej Europy, zwiększając jej ekonomiczną i geopolityczną rangę na globalnej scenie³⁷.

ZACHÓD – CZY JEDNOŚĆ JEST JESZCZE MOŻLIWA?

Wojna z Irakiem przyniosła wiele negatywnych konsekwencji. Do najważniejszych należy kryzys w stosunkach transatlantyckich, a właściwie coś znacznie poważniejszego, to znaczy głęboki kryzys jedności Zachodu. Pewne różnice, nawet istotne, były widoczne już wcześniej, natomiast ten kryzys je wyostrzył, postawił mianowicie pytanie o to, czy Zachód jest jeszcze geopolityczną i cywilizacyjną jednością. Pytanie poszło jeszcze dalej: **czy warto zabiegać o utrzymanie jedności Zachodu, czy Zachód jako całość jest jeszcze wartością, o którą warto walczyć. Dyskusja na ten temat stała pod znakiem podkreślania różnic, a nawet swoistego festiwalu ich klasyfikacji.** Różni eksperci i politycy oferowali własne katalogi mniej lub bardziej strukturalnych i koniunkturalnych różnic między Europą a Ameryką. Mówiono o nich na każdej konferencji poświęconej stosunkom transatlantyckim. Trzeba przyznać, że tych różnic jest sporo, są nieblahe i część z nich okazuje się nie do przezwyciężenia.

³⁷ P. Kościński, T. Serwetnyk, *Kuczma obraził się na Europę*, „Rz” z 27 lipca 2004 r.; M. Wojciechowski, *Jatta 2004 r.*, „GW” z 27 lipca 2004 r.; A. Stasiuk, *Europa, jesteś większa*, „Rz” z 4–5 grudnia 2004 r.

Rzecz symptomatyczna: Amerykanie i Europejczycy już tych różnic nie ukrywają ani nie ignorują czy pomniejszają. Przeciwnie, obie strony starają się je przybrać w walor cnoty i budują wokół nich odrębne modele rozwojowe, które są zachwalane jako lepsze czy „wyższe”. Pojawiła się otwarta rywalizacja pomiędzy Europą (UE) a Ameryką na tle wyższości własnego modelu życia społecznego, ekonomicznego oraz roli międzynarodowej.

Najbardziej wyraziście rzecz postawił Timothy Garton Ash, który w swej głośnej pracy wydanej w połowie 2004 roku *Wolny świat* zastanawia się już w podtytule, **czy obecny kryzys stanowi szansę powrotu do jedności Zachodu**. Wskazuje zarazem na siedem poważnych różnic między wiodącymi ze sobą spór modelami: miejsce religii, rola państwa, stopień akceptacji dla nierówności, ochrona środowiska, stosunek do swej narodowej suwerenności, posiadanie i użytek, jaki się robi z broni, kara śmierci (szerzej prawa człowieka)³⁸. Są to w sumie różnice kulturowe, ekonomiczne, społeczne i różnice w podejściu do rozwiązywania problemów światowych. Europa i Ameryka stają się powoli różnymi wobec siebie światami. Amerykę charakteryzuje równy i względnie wysoki (niemal 3% rocznie) wzrost gospodarczy, który doprowadził do tego, że poziom dochodów w USA na jednego mieszkańca jest obecnie wyższy niż w Europie o ok. 30% i ta różnica będzie się powiększać. Pogłębia się także w różnica we wzajemnym postrzeganiu UE i Ameryki jako podmiotu międzynarodowego, a zwłaszcza ich odrębności w sposobie prowadzenia polityki zagranicznej. Roger Cohen twierdzi, iż ta podstawowa różnica tkwi w podejściu do transformacji rzeczywistości międzynarodowej. O ile Amerykanie zdają się wierzyć, przynajmniej retorycznie, w wolność i demokrację jako czynnik zmiany, któremu trzeba czasem pomóc militarnie, o tyle Europejczycy uważają, że zmiany w kierunku demokracji są oddolne, a sprzyjać im trzeba przez pomoc rozwojową i wsparcie polityczne³⁹. Trochę to współbrzmi z jednym ze stwierdzeń samego Asha, który w komentarzu do polityki USA serwuje swoim czytelnikom następującą trawestację: „kiedyś mówili: Chrystus, myśleli: bawełna, dzisiaj mówią: demokracja, myślą: ropa”. Stąd Amerykanie nie mają problemu z działaniem jednostronnym i poza prawem, podczas gdy Europejczycy wołają aktywność wielostronną, w ramach prawa i bardziej długofalową, bez fajerwerków. Cytowany wcześniej prof. Ferguson twierdzi jednak, że winę za to rozchodzenie się obu członów Zachodu ponosi raczej Europa niż administracja Busha, gdyż to ze względu na utratę swej witalności, wigoru i zdecydowania, pobłażliwość wobec zagrożenia islamskim terroryzmem oraz postępującą sekularyzację UE nie może nadażyć za Ameryką. Jak też zauważają obserwatorzy z USA, wraz ze zmianami mentalności w społeczeństwie amerykańskim, Europa „wypada” z amerykańskiej wizji świata, co pokazały już wybory prezydenckie w USA, w których Europa (miejsce, problemy) była nieobecna⁴⁰.

³⁸ T.G. Ash, *Free World, Why a Crisis of the West Reveals the Opportunity of Our Time*, London 2004.

³⁹ R. Cohen, *U.S. and EU: Two paths to transformation*, „IHT” z 18–19 grudnia 2004 r.

⁴⁰ A.-M. Slaughter, *What is this 'European Union'?*, „IHT” z 19 października 2004 r.; W. Merry, *Europe drops out of the picture*, „IHT” z 28 grudnia 2004 r.; D. Brooks, *Europe and America: A tale of two systems*, „IHT” z 5 stycznia 2005 r.

Pierwszą konkretną ofiarą wzajemnej oziębłości w stosunkach transatlantycznych było NATO. Uraz zachodnich Europejczyków, który wynikał w związku ze sposobem, w jaki zostali potraktowani przez administrację Busha po odmowie wzięcia z entuzjazmem udziału w inwazji Iraku, sprawił, iż nastawili się na spokojny rozwój własnych zdolności militarnych w ramach ESDP; w ich podejściu do NATO pojawiła się, jak twierdzi Christoph Bertram, niebezpieczna „obojętność”. „Amerykańska administracja, która zaledwie dwa lata temu z wyższością głosiła, iż NATO jako takie nie ma już znaczenia i że odtąd nie członkostwo sojuszu, lecz konkretne wojskowe misje będą określać koalicje, apeluje już dziś do całego NATO o pomoc. Większość sojuszników uważa tę zmianę stanowiska za taktyczny ruch, za oznakę jankesowskiego pragmatyzmu w obliczu wymogów konkretnej sytuacji, a nie za dowód, że administracja Busha zmieniła poglądy i pragnie odbudowy NATO jako centralnej płaszczyzny transatlantycznego partnerstwa. Europejskie rządy także nie przejawiają takiego pragnienia”. Pokazał to wyraźnie szczyt Sojuszu w Stambule, który był najbardziej zachowawczym, by nie powiedzieć stagnacyjnym szczytem NATO od zakończenia zimnej wojny. Nawet rozszerzenie do 26 państw nie zdołało wyzwolić optymizmu i wiwatów. Bertram wskazuje na przyczynę braku „czegoś bardzo istotnego: ducha NATO. Wielu (o ile nie większość) członków nie uważa już, że NATO ma zasadnicze znaczenie dla ich narodowych interesów”. Nazywa to „szaleństwem”, „lekkomyślnością”, „igraniem z niebezpieczeństwem”. Jak się okazuje, nie można bezkarnie niszczyć fundamentów zaufania, bez którego nie ma wiarygodnego sojuszu polityczno-wojskowego. Bertram lamentuje, że sprawę rewitalizacji sojuszu wojskowego większość Europejczyków kwituje „wzruszeniem ramion. Ich niebezpieczna obojętność jest najpoważniejszą oznaką kryzysu NATO”⁴¹. W obliczu tej sytuacji nie brakowało w USA głosów, że trzeba za lordem Palmerstonem ogłosić, iż „nie mamy wiecznych sojuszników i nie mamy wiecznych wrogów” i „...rozstać się z tymi, którzy nie chcą wspierać USA w wysiłkach na rzecz bezpieczeństwa międzynarodowego. Analityk RAND Charles Wolf Jr. napisał, że chodzi o poparcie w walce z terroryzmem, o bezpieczeństwo i rekonstrukcję Iraku, o to samo w Afganistanie, o Bliski Wschód, Koreę Północną, Iran i rozwiązanie problemu Tajwanu. Wolf utrzymuje, że w tych sprawach nawet Chiny, Rosja, Indie i Pakistan są bliżej USA niż Francja czy Niemcy. „Należy z tego wyciągnąć wnioski i na nowo sklasyfikować sojuszników i przeciwników Ameryki oraz tych niezdecydowanych”⁴². Gdyby iść za tymi radami, byłby to już istotnie koniec Zachodu. Równie radykalne były koncepcje zamieszczane na łamach najpoważniejszego przecież pisma w tej dziedzinie – „Foreign Affairs”. W artykule *Ratować NATO przed Europą* Jeffrey L. Cimbalo pisze bez ogródek, iż postanowienia traktatu konstytucyjnego UE w sferze bezpieczeństwa są niczym innym jak zagrożeniem dla NATO pochodzącym po raz pierwszy z samej Europy.

⁴¹ Ch. Bertram, *Trzeba ocalić NATO*, „Rz” z 31 sierpnia 2004 r.; M. Wągrowska, *NATO w letargu*, „Rz” z 22 października 2004 r.; M.R. Gordon, *Flirting with failure: NATO's Afghan mission*, „IHT” z 21 maja 2004 r.; *NATO fails a test*, „The Economist” z 19 czerwca 2004 r.

⁴² Ch. Wolf Jr., *A test to determine who's an ally*, „IHT” z 8 lipca 2004 r.

„Polityczna integracja UE stanowi największe zagrożenie dla wpływów amerykańskich w Europie od II wojny światowej i amerykańska polityka musi zacząć na to reagować”. Autor proponuje oprzeć strategię USA w tym zakresie na trzech państwach sceptycznych wobec konstytucji dla Europy, to jest Wielkiej Brytanii, Polsce i Danii, którym USA powinny zaproponować w to miejsce sojusz dwustronny. **Jeśli te państwa zgodzą się odrzucić traktat, który jest „strategicznie nie do zaakceptowania”, i będą musiały opuścić UE, USA powinny im to zrekompensować ekonomicznie**⁴³. Nie są to wprawdzie oficjalne poglądy administracji Busha, jednak zważywszy na to, skąd pochodzą, z pewnością nie są obce przynajmniej jej części.

Niewątpliwy kryzys w stosunkach transatlantyckich i uzasadnione frustracje, wątpliwości i pytania o treść i sens więzi między USA a Europą, czyli to wszystko, czego byliśmy świadkami w ciągu ostatnich 2–3 lat, nie może przesłonić prawdy podstawowej o istniejącej obiektywnie współzależności interesów ekonomicznych i strategicznych. Jest sprawą odrębną, jak długo i w jakim stopniu bezsporne rozchodzenie się Ameryki i Europy w sferze wartości nie będzie mieć wpływu na wspólnotę ich interesów. Ten problem na razie nie staje na porządku dnia, ale warto o nim pamiętać. W pierwszych miesiącach 2005 roku podjęto próbę (seria spotkań na najwyższym szczeblu) powrotu do *business as usual* w stosunkach transatlantyckich. Nie będzie to jednak trwałe, jeśli próba ograniczyć się do wymiany zaklęć o potrzebie jedności ze względu na historię i wartości, do – jak chce tego Waszyngton – oddania współpracy w ramach NATO „w służbę wolności” (C. Rice w Paryżu, 8 lutego). Stany Zjednoczone i Europa są dla siebie największymi partnerami w sferze gospodarczej i zainteresowanie obu stron Azją prędko tego nie zmieni. 60% inwestycji zagranicznych USA w ostatniej dekadzie trafiło do Europy – europejskie inwestycje w Teksasie są wyższe niż łączne inwestycje USA w Japonii i Chinach! Bezdyskusyjnie obie strony Atlantyku potrzebują się wzajemnie bardziej niż jakiegokolwiek inne kraje czy regiony świata. Jednak ta sytuacja wymaga nowej obudowy instytucjonalnej. **O ile w sferze strategiczno-wojskowej NATO pozostanie fundamentem współpracy USA i Europy, o tyle w sferze polityczno-strategicznej potrzebne jest nowe forum**, nie tak zużyte (przez tę administrację), a zarazem bardziej adekwatne (czyli ograniczone w swym składzie) do dialogu strategicznego w ramach Zachodu. O potrzebie takiego forum pisał już w 2001 roku Henry Kissinger w swej pracy *Does America Needs a Foreign Policy*. Kissinger sugerował ustanowienie *Atlantic Steering Group*, która służyłaby do omawiania spraw politycznych o strategicznym charakterze. Idąc tym tropem i po dość traumatycznych doświadczeniach ostatniego okresu, europejscy politycy zasugerowali w końcu 2004 r. powołanie euro-amerykańskiej Grupy Kontaktowej (*Contact Group*) jako „nowego strategicznego forum”, które byłoby bardziej funkcjonalne niż to, czym obie strony dzisiaj

⁴³ J.L. Cimbalo, *Saving NATO from Europe*, „Foreign Affairs”, listopad–grudzień 2004. Polemizują z tą koncepcją R.D. Asmus, A.J. Blinken, P.H. Gordon, *Nothing to fear*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2005.

dysponują. „NATO jest obecnie zbyt szerokie i jedynie reaktywne, a zatem nie pozwala na prawdziwą dyskusję strategiczną”. Nazwa i forma są sprawą drugorzędną; rewitalizacja więzi transatlantyckich wymaga nowej podstawy instytucjonalnej dla prawdziwych konsultacji i podejmowania ważnych decyzji⁴⁴.

Problemów, którym wspólnie musi stawić czoło Zachód, a które wiążą się wprost z jego żywotnymi interesami, jest aż nadto. Ich ignorowanie lub działanie w pojedynkę będzie tym interesom zwyczajnie szkodzić. Część z nich to problemy „własne” Zachodu, inne odnoszą się do pożądanego z zachodniego punktu widzenia kształtu porządku międzynarodowego. Do tych pierwszych można zaliczyć m.in. sprawy zaopatrzenia w surowce energetyczne, zagrażające przetrwaniu Zachodu jako cywilizacji trendy demograficzne czy stosunki z Rosją. Eksperci piszą, iż zbliżamy się do „petro-apokalipsy”. Za kilka lat, po 2010 roku, produkcja ropy naftowej znacznie spadać, podczas gdy zapotrzebowanie będzie coraz bardziej gwałtownie wzrastać. Stoimy w obliczu nieuchronnego wstrząsu, który będzie rezultatem „strukturalnego głodu naftowego”. Ceny ropy mogą w przewidywalnej perspektywie osiągnąć wielkość 100 USD za baryłkę, co jak się dość zgodnie podkreśla, będzie końcem świata, jaki znamy. Rozwiązywanie tego problemu na amerykański sposób (*vide* inwazja Iraku 2003) nie będzie w przyszłości możliwe lub będzie prowadzić do wojen znanych z historii (XIX wiek i początek XX)⁴⁵. Wspólna strategia Zachodu w tej sprawie jest więcej niż konieczna. Inną naturę ma problem demograficzny Zachodu. W tym przypadku (odwrotnie niż w sprawach zaopatrzenia w ropę naftową, w których kategoria zysku jest niezastąpionym bodźcem) eksperci zwracają uwagę na przedziwne, uparte ignorowanie przez Zachód tego problemu, choć ma on dlań egzystencjalne znaczenie. Była już o tym wcześniej mowa w odniesieniu do Europy i – jak dotąd – nie widać załączków polityki, która mogłaby to zmienić, jeśli już, to najwyżej w kontekście zapewnienia zabezpieczenia socjalnego dla ludzi starych. Imigracja może złagodzić ten aspekt problemu, tworząc jednak nowe źródła napięć i konfliktów społecznych, oraz – przede wszystkim – nie dając szansy cywilizacyjnego przetrwania Zachodu w perspektywie już 70–120 lat⁴⁶. Jeśli chodzi o duże problemy o strategicznym znaczeniu, które powinny zostać wspólnie podjęte przez Zachód już dzisiaj, to w świetle rozwoju sytuacji w 2004 roku można wskazać na przynajmniej trzy takie wyzwania.

1. Nieustającym wyzwaniem dla Zachodu pozostaje **Rosja**. Strategicznym celem Zachodu powinno być włączenie Rosji w system jego międzynarodowych instytucji i porozumień, które uczynią z niej integralną część geopolitycznej przestrzeni Zachodu, tak jak było to w przypadku Japonii w okresie zimnowojennym. To wszystko może się dokonać jedynie w drodze systemowego przybliżania się Rosji do Zachodu, bez uszczerbku dla jej kulturowej specyfiki. Ostatni rok

⁴⁴ G. Amato, R. Dahrendorf, V. Giscard d'Estaing, *Dear President Bush*, „IHT” z 15 grudnia 2004 r.; D.S. Hamilton, J.P. Quinlan, *We can't afford this trans-Atlantic squabble*, „IHT” z 5 listopada 2004 r.; F.G. Rohatyn, *We still need each other*, „IHT” z 5–6 czerwca 2004 r.

⁴⁵ Zob. np. Y. Cochet, *Vers la pétro-apocalypse*, „Le Monde” z 1 kwietnia 2004 r.

⁴⁶ Ph. Bowring, *The West ignores low birthrates at its peril*, „IHT” z 23–24 listopada 2004 r.

nie przyniósł pod tym względem postępu; przeciwnie, można nawet mówić o regresie. Świadczy o tym kilka wydarzeń i zjawisk w ostatnim okresie. Należy do nich postępująca centralizacja władzy, która staje się już bez osłonek autorytarna. Rosja zdaje się porzucać nawet aspiracje do stania się państwem demokratycznym. Na szczęście, jak zauważają eksperci, nie jest to tendencja wiodąca do państwa totalitarnego, którego właściwa organizacja jest podporządkowana realizacji określonej ideologii. Rosnący autorytaryzm władzy prezydenta Putina wyrażał się na różne sposoby. W gospodarce oznaczało to kontynuację rozprawy ze „złodziejskimi baronami”, czyli oligarchami, którzy doszli do gigantycznych fortun przez rozkradanie w latach 90. sowieckiego majątku narodowego. Następnie oligarchowie postanowili przekuć władzę ekonomiczną w polityczną; chcieli uczynić państwo i jego poszczególne części (kraje) posłusznym narzędziem swoich celów. Polityka Putina z jednej strony zmierzała do odzyskania rozgrabianego przez oligarchów państwa i do odparcia ich ambicji politycznych, z drugiej jednak, co pokazał przypadek Jukosu należącego do Chodorkowskiego, była arbitralna i wymierzona przeciw tym, którzy się władzy z takich czy innych względów nie podobali. Ogólnie zdrowej polityce makroekonomicznej nie towarzyszyły niezbędne reformy strukturalne. Paradoksalnie, „na przeszkodzie” stała dobra koniunktura na ropę, co dawało Rosji ogromne wpływy do budżetu i nie zmuszało jej do działań poprawiających efektywność gospodarki. Walce z oligarchami, która przypominała raczej kaprysy władzy niż systemową politykę, towarzyszyła wojna z wolnymi mediami oraz ograniczanie demokratycznych procedur rządzenia. Regres w tej dziedzinie był tak wielki, iż na Zachodzie pojawiły się oskarżenia prezydenta Putina o zmierzanie w kierunku *quasi*-faszystowskim. Były one zapewne przesadzone, lecz w reakcji na to w Rosji zaczęły narastać nastroje antyzachodnie. Podsycił je sam Putin, który w słynnym orędziu do narodu (4 września 2004 r.) po ataku na szkołę w Biesłanie oskarżył wrogie Rosji siły (znajdujące się „gdzieś” na Zachodzie) o „rozszarpywanie Rosji”. Ta antyzachodnia histeria była władzy potrzebna dla legitymizacji jej sposobu zwalczania niepodległościowych dążeń Czeczenów oraz mieszania się w wewnętrzne sprawy państw kaukaskich i wzniesienia lokalnych antagonizmów w celu umocnienia tam jej obecności militarnej. Niezmiernie starano się pokazywać politykę Rosji w tym regionie i jej operacje zbrojne jako część walki ze światowym terroryzmem, prowadzonej także przeciw przez USA. Słusznie pisał Bronisław Wildstein, iż „Postrzeganie w taki sam sposób bojowników w Kaszmirze, Ujgurii Wschodniej czy Czeczenii i terrorystów z Al-Ka’idy to gorzej niż błąd. Ludzie bin Ladena to fanatyczni mordercy. Czeczeni czy Ujgurzy walczą o wolność. Niestety, rozpacz i poczucie już nie tylko osamotnienia, ale i wrogości świata będzie popychała ich w objęcia fundamentalistów i czyniła te tragiczne sprawy coraz trudniejszymi do rozwiązania”. Dzięki Moskwie zaczął tam działać mechanizm – „terror za terror”. Kolejna lekcja, tym razem z Biesłanu, poszła na marne⁴⁷.

⁴⁷ S. Popowski, *Rosja w rękach terrorystów*, „Rz” z 2 września 2004 r.; B. Wildstein, *Ostatnie tabu*, „Rz” z 7 września 2004 r.; A. Pionkowski, *My, Rosjanie przeciw wszystkim*, „GW” z 8 września 2004 r.

Ten sam opór Moskwy wobec rzeczywistości oraz odmowa uznania czy też niezdolność rozumienia zmian, które mają prawo zachodzić w życiu społecznym, ujawnił się w związku z wyborami prezydenckimi na Ukrainie. Moskwa nie tylko postawiła na siły starego porządku, związane zresztą z ogromną mniejszością rosyjską w tym kraju, ale nawet usiłowała wpłynąć na wynik wyborów przez nachalne poparcie dla swego kandydata, a następnie upór przy sfałszowanych przez ekipę Kuczmy-Janukowycza rezultatach wyborów. Nawet w sprawie próby zabójstwa kandydata sił demokratycznych (Juszczenki) tropy wiodły do Rosji. Dla nowej ekipy w Kijowie polityka Putina stanowiła tym większy problem, iż Ukraina jest przecież skazana na utrzymanie dobrych stosunków z Rosją, a Moskwa będzie jej to chętnie uniemożliwiać (jak dzieje się to często od 1990 roku w przypadku stosunków z Polską). Usiłując beznadziejnie bronić pozostałości swego imperium (Kaukaz, Ukraina), które miały jakoby jej gwarantować mocarstwową pozycję, Moskwa wywoływała spory i trudności w organizacjach międzynarodowych, których zadaniem było rozwiązywanie prowokowanych przez nią napięć (np. w OBWE czy Radzie Europy)⁴⁸. Takie problemy nie ułatwiały też współpracy Rosji z NATO czy UE. O tym, iż **Moskwa nie zamierza łatwo rozstać się z historycznymi wpływami w Europie Wschodniej i Środkowej**, świadczyło ujawnienie aktywności rosyjskich służb specjalnych na Litwie (dopiero parlament zmusił do ustąpienia prezydenta tego kraju otoczonego rosyjskimi agentami), a także „energetyczna kontrofensywa” Rosji w tym regionie. W 2004 roku doszło do ujawnienia informacji wskazujących na polityczno-strategiczne intencje w kolejnych krokach, które zmierzały do uzależnienia krajów tego regionu, z Polską na czele, od dostaw rosyjskich surowców energetycznych. Jest rzeczą zastanawiającą, iż w tym procederze zdarzało się uczestniczyć koncernom amerykańskim. Jak twierdzi Zbigniew Siemiątkowski, były szef Agencji Wywiadu, „Rosyjskie elity nigdy nie pogodziły się z degradacją, której uległa Rosja na skutek rozpadu ZSRR, i nigdy nie przyjęły do wiadomości, że na Zachód od Rosji istnieją niezależne od niej państwa. (...) Można przyjąć założenie, że główne rosyjskie koncerny swoją politykę ekspansji kapitałowej mają powiązaną z generalnymi planami państwa rosyjskiego”⁴⁹. Zaniepokojenie Zachodu wewnętrznymi i zewnętrznymi tendencjami polityki Rosji zaczęło narastać do tego stopnia, że od początku 2005 roku nawet Waszyngton zaczął mnożyć pod adresem Moskwy liczne ostrzeżenia. Te sprawy stały się także przedmiotem rozmów Bush–Putin w Bratysławie (luty 2005 r.); przypomnijmy, iż tandem Bush–Blair jako pierwszy uznał na Zachodzie prezydenta Putina za prawego człowieka i szczerego demokratę, z którym można robić interesy (pamiętne spotkanie Bush–Putin w Lublanie

⁴⁸ *Rosja i Kuczma: cała wstecz dla Ukrainy*, „GW” z 8 grudnia 2004 r. (tamże komentarz A.D. Rotfelda, *Rosja wraca do tezy ZSRR*); A. Pankin, *How Russia overplayed its hand*, „IHT” z 3 grudnia 2004 r.

⁴⁹ *Rosyjska ofensywa, wywiad z Z. Siemiątkowskim* (rozmawiali A. Nowakowska i B. Węglarczyk), „GW” z 24 listopada 2004 r.; *Imperium atakuje*, „GW” z 28 października 2004 r.; J. Dempsey, *Russia casts energy web over East Europe*, „IHT” z 1 października 2004 r.

w 2001 roku)⁵⁰. W sumie coraz bardziej indywidualistyczna polityka zagraniczna oraz odchodzenie od standardów zachodnich w sferze polityki i gospodarki utrudniają Zachodowi sprostanie rosyjskiemu wyzwaniu, ale w żadnej mierze tego wyzwania nie łagodzą.

2. Reforma ONZ pozostaje kolejnym wielkim zadaniem ONZ w nadchodzących miesiącach i latach. Stoimy w obliczu szansy przeprowadzenia najgłębszej, jak się słusznie uważa, reformy ONZ w dziejach tej organizacji. Jest ona rezultatem decyzji jej sekretarza generalnego Kofiego Annana z września 2003 r. o powołaniu Panelu Wysokiego Szczebla, czyli „grupy mędrców”, której zadaniem było przedstawienie raportu poświęconego przyczynom i kierunkom zmian, jakie miałyby dostosować organizację do nowych wyzwań i oczekiwań społeczności międzynarodowej. Notabene decyzja Annana zapadła w następstwie polskiej inicjatywy idącej w tym samym kierunku, zgłoszonej rok wcześniej na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ. Raport przedstawiony 1 grudnia 2004 roku proponuje rozległe reformy, łącznie z rozszerzeniem RB NZ, likwidacją niektórych organów oraz ustanowieniem nowych po to, aby zwiększyć skuteczność organizacji w sferze *peace-keeping* i *nation-building* oraz umożliwić jej bardziej całościowe podejście do spraw ubóstwa, niedyskryminacji, zwalczania pandemii, ochrony środowiska naturalnego. Teraz ZO i RB powinny się zająć tymi propozycjami. Mimo głębokości proponowanych zmian i szans, jakie ze sobą niosą, mamy tutaj do czynienia z obojętnością zarówno USA, jak i Europy. Stanowisko USA nie jest zaskoczeniem. W Waszyngtonie od pewnego czasu demonstrowano niechęć, a nawet wrogość wobec ONZ (liczne głosy postulujące jej rozwiązanie i zastąpienie „czymś innym”). Sam raport, co było do przewidzenia, także nie zaspokoił oczekiwań USA. Istotnie, trudno było się spodziewać, aby reprezentujący całą społeczność międzynarodową podzielili amerykańską wizję porządku międzynarodowego, wynikające z niej interpretacje problematyki bezpieczeństwa czy zgodę na „prawo do wyprzedzającego uderzenia” w ramach nowej definicji prawa do samoobrony (raport podtrzymał definicję istniejącą do tej pory). Można zatem przypuszczać, iż administracja Busha będzie się koncentrować na sabotowaniu wielu ważnych propozycji zawartych w raporcie. Trudniej zrozumieć bierność Europy (z małymi wyjątkami), chyba że da się ona wytłumaczyć brakiem wiary w sukces przedsięwzięcia, co miałyby związek ze stanowiskiem Waszyngtonu. Jedno wszakże nie powinno ulegać wątpliwości. Powiedział to wprost sekretarz generalny ONZ w swoim dorocznym wystąpieniu w czasie jesiennej sesji ZO NZ (21 września 2004 r.): **„Nie ludźmy się, iż jeśli nie zdołamy zrobić dobrego użytku z tej organizacji, to znajdziemy jakiś inny, skuteczniejszy instrument”**. W tym samym wystąpieniu Kofi Annan zwrócił szczególną uwagę na zagrożenie dla zasady praworządności w stosunkach międzynarodowych. Jest ona zagrożona wszędzie, począwszy od Iraku, przez Darfur, Biesłan, Izrael czy

⁵⁰ K. Pelczyńska-Nałęcz, *Dokąd zmierza Rosja?*, „Rz” z 30 września 2004 r.; P. Gillert, *USA zaniepokojone polityką Putina*, „Rz” z 16 września 2004 r.; N.D. Kristof, *America, too, needs to stand up to Putin*, „IHT” z 16 grudnia 2004 r.

Ugandę. „Jeśli chcemy zachować prawo międzynarodowe, musimy zacząć od zasady, zgodnie z którą nikt nie jest ponad prawem i nikt nie może być pozbawiony ochrony ze strony tego prawa. Każdy kraj, który proklamuje prawa u siebie, musi ich przestrzegać na zewnątrz. (...) Słabi nie mają możliwości skutecznego odwołania się do prawa, podczas gdy potężni manipulują prawem dla zachowania swej siły i nagromadzonego bogactwa”. Słowa Kofiego Annana były aż nadto czytelne, a ich rezultatem była seria ataków i oskarżeń pod jego adresem, które pojawiły się w Ameryce.

Tymczasem bez rewitalizacji ONZ, która wiedzie przez głęboką reformę, organizacja nie będzie skuteczna także tam, gdzie chciałby ją taką widzieć Zachód. Trzeba wzmocnić, a nie osłabiać jej rolę, również w sferze bezpieczeństwa. Dotyczy to zwłaszcza sprawy nieprolifracji, którą należy rozwiązywać całościowo, a nie ograniczać się do kolejnych akcji zastraszania (*vide* USA wobec Iranu). Jak się zauważa, w niektórych przypadkach istnieją poważne powody pchające pewne państwa do wyposażenia się w broń nuklearną. W przypadku Iranu mówi się o jego trudnym położeniu geopolitycznym i posiadaniu broni nuklearnej przez Izrael. Wskazuje się również, iż bez kroków ze strony wielkich mocarstw zmierzających do zmniejszenia ich potencjałów, zgodnie z NPT, nie będzie można osiągnąć sukcesów w sferze nieprolifracji. Same inspekcje Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej nie wystarczą, a różnice w podejściu do tych spraw będą głęboko dzielić Europę i Amerykę. Nieodpowiedzialne wypowiedzi czołowych przedstawicieli administracji USA (w tym G.W. Busha i R. Cheney) o możliwości ataku na Iran tylko przyczyniają się do napięć i grożą nowym konfliktem i destabilizacją regionalną w tamtej części świata. Ścisła współpraca USA i Europy (nie tylko narzucanie Europie stanowiska USA) jest niezbędna zarówno gdy chodzi o reformę ONZ, nieprolifrację, zwalczanie terroryzmu (choć pojawiły się trzeźwe analizy mówiące, iż to zagrożenie jest nadwartościowane), jak i wreszcie stabilizację Bliskiego i Środkowego Wschodu⁵¹. Dialog i współpraca, nie dominacja i wzajemne oskarżenia, niechęć i frustracja, są Zachodowi potrzebne również w obliczu globalnych ruchów tektonicznych, które zapowiada rozwój Chin, Indii i wyrastanie nowej jakości geostrategicznej we wschodniej Azji, gdzie, jak wszystko wskazuje, wpływy USA będą się zmniejszać. Prowadzona przez administrację Busha gra na rozbicie jedności Zachodu oraz wyciąganie z tego wniosków przez Europę (efekt: stagnacja NATO, rozbudowa ESDP) jest pewną drogą do jego marginalizacji w ciągu następnych 30–70 lat.

3. Stabilizacji porządku międzynarodowego będzie służyć mocna ONZ (w warstwie politycznej) i **cywilizowanie globalizacji** (w warstwie ekonomicznej). To są dwie strony tego samego zagadnienia. Pierwsza dekada procesów globalizacji służyła przede wszystkim rozwojowi i wzrostowi najbogatszych. Jeśli chcemy uniknąć globalnej destabilizacji społecznej i politycznej, kolejna dekada musi

⁵¹ Z. Brzezinski, *A grand U.S.-European Mideast strategy*, „IHT” z 26 października 2004 r.; Ph. Bowring, *Decideing whether to go nuclear*, „IHT” z 24 września 2004 r.; *Seven foreign ministers speak out: Nonproliferation and disarmament go hand in hand*, „IHT” z 22 września 2004 r.; J. Power, *Israel's nukes serve to justify Iran's*, „IHT” z 22 września 2004 r.

zacząć przynosić korzyści najbardziej ubogim i najmniej rozwiniętym. Skalę zjawiska oraz problemu ubóstwa i marginalizacji pokazał znakomicie ogłoszony 17 stycznia i przekazany Kofiemu Anannowi raport sporządzony przez prof. Jeffreya Sachsa na zamówienie ONZ. **Jeden miliard osób żyje za mniej niż dolara dziennie, 2,7 mld osób żyje za mniej niż dwa dolary dziennie, 800 mln osób stale cierpi głód.** Zdaniem wielu rok 2005 stanowi ostatnią szansę, aby odwrócić niekorzystne trendy i zahamować pogłębianie się różnic między dwoma biegunami globalnej stratyfikacji ekonomicznej i społecznej. Raport zatytułowany *Inwestowanie w rozwój* wskazuje, iż tzw. Cele Milenijne (np. redukcja skrajnego ubóstwa i głodu, rozwój edukacji podstawowej, promocja równości dla kobiet i ich usamodzielnianie się) nie są realizowane. Nadal dramatycznie spadają wydatki na rozwój ze strony krajów najbogatszych. Negatywną palmę pierwszeństwa dzierżą Stany Zjednoczone. To dlatego prof. Sachs nie zawahał się napisać, iż „Ignorancja Ameryki jest zagrożeniem dla ludzkości”; chodzi o ignorancję w obliczu prawdziwych, a nie urojonych problemów, które stanowią wyzwanie dla społeczności międzynarodowej. Inni pisali po prostu: *America, the indifferent* („IHT” z 24–26 grudnia 2004 r.). O tym, jak bardzo jest zawodne koncentrowanie się na zagrożeniach w rodzaju terroryzmu, przekonywał przypadek Afganistanu. Interwencje ograniczyli się do walki z Al-Ka’idą i talibami; w ten sposób stosunkowo szybko doszło tam do odrodzenia się władzy lokalnych watażków (*warlords*) i rozkwitu produkcji opium. Jeśli problemy związane z nierównomiernym przebiegiem procesów globalizacji nie zostaną poważnie (strategicznie) potraktowane przez Zachód, może się okazać, że jedynym rozwiązaniem będzie budowa muru oddzielającego nas od reszty świata (podobnie jak Izrael uczynił to w stosunku do Palestyńczyków)⁵². Prof. Dominique Moïsi wskazuje na ogromną przepaść między postępem technologicznym i brakiem postępu, lub nawet regresem, w sferze ludzkiej moralności. Do niedawna ogromna nierówność między bardzo bogatymi a bardzo biednymi nie była tak znana tym drugim. Dzisiaj oni ją widzą, odczuwają złość, upokorzenie i frustrację, a to będzie prowadzić do fragmentacji, kontynuując francuski analityk. I postuluje: w studiowaniu i rozumieniu stosunków międzynarodowych trzeba odwrócić niebezpieczny trend, który polega, szczególnie w USA, na podejściu kwantytatywnym (tzw. naukowym). Oznacza to **dehumanizację stosunków międzynarodowych**. Dzisiejszych problemów świata, w jego złożoności, tożsamości i podziałach, **nie da się zrozumieć przez pryzmat teorii konfliktu, a jedynie dzięki znajomości kultury i historii** (wystąpienie na konferencji komendantów szkół wojskowych państw NATO, Sofia, 22 marca 2004 r.).

⁵² „Le Figaro” z 18 stycznia 2005 r.; J. Sachs, *America’s ignorance is a threat to humanity*, „IHT” z 7 czerwca 2004 r.; J.A. Thier, *Back to warlords and opium*, „IHT” z 24 września 2004 r.; R. Cohen, *Israel’s wall, a victory for the logic of war*, „IHT” z 14 lipca 2004 r.